

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIV Nr 4(272) Żelów, kwiecień 2019

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Barbary Gajewskiej, Jerzego Grupińskiego, Jolanty Michny, Janusza Orlikowskiego, Jerzego Stasiewicza, Tadeusza Zawadowskiego
Andrzej Dębowski – *Wiosennie, prawie letnio i optymistycznie*

Leszek Żuliński – *Apocalypsis cum figuris*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja publicystyczna oraz Treny o Kacperku*

Kazimierz Ivosse – *Goethe w Piwnicy Auerbacha (1)*

Stefan Jurkowski – *Ludu zmartwienie*

Joanna Friedrich – *Wiosna. Strzały Amora*

Henryk Gała – *Niewiersze*

Dariusz Pawlicki – *Przeciw imperatywowi odbywania egzotycznych podróży*

Felicja Borzyszkowska-Sękowska – *Polski Sartre i Jego Simone (1)*

Stanisław Grabowski – „Obłoczek” redivivus!

Adam Lizakowski – *Jak zostałem „Noblistą”?*

Radovan Brenkus – *Wybory*

Rafał Orlewski – *Mowa świata*

Irena Kaczmarczyk – *Motyl z Nagasaki – poetyckie peregrynacje Waldemara Hładkiego*

Mateusz Wabik – *Okruchy ożywczych mądrości*

Joanna Słodyczka – *Przychodzi poeta do biblioteki*

Witryna

Opinie, Noty, Poglądy

Informacje, Kronika

Szkice, Eseje

Publicystyka, Felietony, Krytyka

„Obłoczek” redivivus!

Wojciech Dąbrowski wydał ostatnio kilka ważnych książek, które chwalił nie tylko Jacek Fedorowicz. Otrzymaliśmy właśnie jego nową książkę pt. „Obłoczek” 2017. Magazyn autorski. Zbiór wierszy, piosenek satyr 1951-2017, w której autor na ogół słowem rymowanym zdaje nam relację ze swego życia. Jest po siedemdziesiątce, ma więc chyba prawo do próby życiowego bilansu. Najogólniej, od wczesnych lat młodzieńczych dwie wielkie pasje nim kierowały: harcerstwo i matematyka. I to już wystarczyłoby, żeby wypełnić niejedną życiorys. Ale nie z Dąbrowskim te numery! Dąbrowski ciągle przekracza kolejne granice, nieustannie wyznacza sobie nowe cele i nowe obowiązki, na ogół o charakterze ogólnopolskim. (...) – **pisze Stanisław Grabowski na stronie 10.**

Polski Sartre i Jego Simone

Obserwując tę parę znajduję wiele analogii z Simone de Beauvoir i Jeana Paula Sartre. Otóż nominowana do Pokojowej Nagrody Nobla prof. dr hab. Maria Szyszkowska i Jan Stępień nosią w sobie wiele podobieństw. Z tą różnicą, iż Stępieńowie są małżeństwem a Sartrowie nie. Nigdy nie byli, chociaż w świadomości społecznej funkcjonowali właśnie jako wieloletnie stadło małżeńskie doskonale zintegrowane i promieniujące na innych przykładem wielkiej więzi i wzajemnej pomocy. Zupełnie jak Stępieńowie. Jednak nikt ich tak nie nazywa, ale jeśli już ktoś chce podkreślić spójność jaką na zewnątrz promieniują – nazywa ich: Szyszkowscy. Od nazwiska żony, Marii – właściwie tego już nie muszę dodawać. To czasem brzmi jak zapowiedź Wielkiego Matriarchatu, jaki ma rozwinąć się – według prognoz nie tylko astrologicznych – na przestrzeni XXI wieku. (...) – **pisze Felicja Borzyszkowska-Sękowska na stronach 8-9.**



Przeciw imperatywowi odbywania egzotycznych podróży

(...) Żywię przekonanie, że podróżowanie na inne kontynenty, mam na myśli cele turystyczne, jest wyłącznie jeszcze jednym sposobem na wypełnienie wolnego czasu. Takim samym jak czytanie dla czytania, chodzenie do teatru dla chodzenia, oglądanie telewizji dla telewizji (w przeciwieństwie do czytania dla dowiedzenia się Czegoś; oglądnięcia sztuki teatralnej, aby Coś z Czymś skonfrontować...; włączenia telewizora dla konkretnego programu poświęconego np. robieniu bigosu). Z tym, że podróżowanie, w przeciwieństwie do pozostałych wymienionych sposobów zagospodarowania indywidualnego czasu, wymaga poświęcenia na ten cel, nie godzin, ale dni, tygodni... Wymaga także dysponowania zdecydowanie większymi środkami finansowymi. To znaczy takimi, aby gwarantowały wygodę. A ta jest niezwykle ważna. Bo czyż w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci, przynajmniej na Zachodzie, potrzeba życia w wygodzie, wręcz w komforcie, nie stała się tak silna, że zastąpiła pragnienie szczęścia? Moim zdaniem – zastąpiła. Nakłada się na to jeszcze potrzeba doznawania ustawicznych wrażeń. I to wciąż nowych. (...) – **pisze Dariusz Pawlicki na stronach 3-4.**

Kronika

Nowe władze w ZLP:
w Bydgoszczy...

Podczas Walnego Zebrania Członków Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Związku Literatów Polskich wybrano nowy zarząd. Ponownie na jego czele stanął **Dariusz Tomasz Lebioda**. Wiceprezesem został **Marek Żelkowski**, **Maria Jolanta Kowalska** – skarbnikiem, a **Anna Alina Lebioda** – sekretarzem.

w Kielcach...

Nowe władze wybrano także w Międzyregionalnym Kieleckim Oddziale Związku Literatów Polskich. Po raz kolejny na prezesa wybrano **Stanisława Nyczaja**. Wiceprezesami zostali: **Benedykt Kozieł** i **Jan Lechicki**. Na skarbnika wybrano **Krystynę Cel**, a prof. **Bogusław Wiłkomirski** został sekretarzem oddziału.

Konkursy

Złota Róża po raz szósty

Fundacja ARKONA już po raz szósty ogłasza konkurs o Złotą Różę, Nagrodę literacką im. Jarosława Zielińskiego (1971-2012). Konkurs jest przeznaczony dla autorów, którzy w ubiegłym roku, wydając tomik poetycki, nie przekroczyli 41. roku życia. Laureat otrzymuje nagrodę pieniężną, obraz znanego malarza oraz pamiątkowy dyplom.

W składzie Kapituły przyznającej nagrodę: **Aleksander Nawrocki** (przewodniczący), **Stanisław Grabowski** (sekretarz), **dr Lam Quang My**, **Andrzej Walter** i **Mikołaj J. Wachowicz** (członkowie).

Autorzy ubiegający się o nagrodę, także wydawnictwa i instytucje, tomiki poetyckie wydane w 2018 roku powinni nadsyłać do 15 czerwca br. na adres: **Stanisław Grabowski, ul. Koński Jar 2/27, 02-785 Warszawa, z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs Literacki im. Jarosława Zielińskiego”** wraz z danymi adresowymi, telefonem.

Ogłoszenie wyników nastąpi w lipcu. Laureat zostanie powiadomiony o przyznaniu nagrody oraz miejscu i terminie jej uroczystego wręczenia (wrzesień br.).

Telefony kontaktowe: 22 641 96 28 oraz 691 458 087.

XV Międzynarodowy
Konkurs Poetycki
„O Laur Sarbiewskiego”

Konkurs jest organizowany w dwóch kategoriach: a) poezji w języku polskim związanej z postacią i twórczością **Macieja Kazimierza Sarbiewskiego**, b) poezji w języku łacińskim.

Celem konkursu jest promocja spuścizny **Macieja Kazimierza Sarbiewskiego** za pośred-

nictwem żywej twórczości poetyckiej oraz międzynarodową konfrontacją poezji tworzonej obecnie w językach polskim i łacińskim.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie na adres wskazany przez organizatorów maszynopisu trzech utworów poetyckich, nigdzie wcześniej niepublikowanych i nienagradzanych, w trzech egzemplarzach.

Utwory w kategorii a) muszą być związane tematycznie z postacią lub twórczością **Macieja Kazimierza Sarbiewskiego** lub jednoznacznie nawiązywać formą i treścią do jego twórczości; tematyka i struktura formalna utworów w kategorii b) jest dowolna.

Prace w kategorii a) należy nadesłać do 12 kwietnia 2019 roku z dopiskiem „O Laur Sarbiewskiego” na adres: Miejskie Centrum Kultury, ul. Płocka 50, 09-100 Płońsk – decyduje data stempla pocztowego; prace w kategorii b) należy wysyłać drogą elektroniczną (jako załącznik zapisany w formacie DOC, zatytułowany według schematu: kowalski.jan.doc) na adres: certamen.sarbiewianum@gmail.com

Dodatkowo (w kategorii A) można nadesłać jeszcze jeden wiersz, ale o tematyce związanej z Płońskiem i spośród tych wierszy, najlepszy zostanie nagrodzony wyróżnieniem specjalnym. W kategorii a) każdy utwór lub zestaw utworów należy opatrzyć godłem, czyli pseudonimem. Do zestawu należy dołączyć zamkniętą kopertę opatrzoną takim samym godłem zawierającą dane o autorze: imię i nazwisko, dokładny adres i telefon kontaktowy oraz adres e-mail. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi 10 maja 2019 roku podczas Inauguracji XV Międzynarodowego Festiwalu Ks. **Macieja K. Sarbiewskiego**.

O przyznaniu i wręczeniu nagród zostaną powiadomione, spośród uczestników konkursu, tylko osoby nagrodzone. Powołane przez organizatorów komisje decydują o przyznaniu nagród w obydwu kategoriach. Prace niespełniające wymogów regulaminu nie będą uwzględniane w konkursie. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac. Organizatorzy nie wysyłają nagród, należy je odebrać osobiście.

Organizatorzy pokrywają laureatom koszty noclegów i wyżywienia w czasie XV Międzynarodowego Festiwalu Ks. **Macieja K. Sarbiewskiego**, ale nie zwracają kosztów przejazdu.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do publikacji wybranych utworów w zbiorze pokonkursowym. Udział w konkursie jest, zatem równoznaczny z wyrażeniem zgody na nieodpłatną publikację nadesłanych utworów. Dodatkowe informacje: telefon: 23 662 27 02 mail: mck_plonsk@poczta.onet.pl



Maciej Kazimierz Sarbiewski

Taka poezja

Jerzy
Stasiewicz

Pieta wygnanych

Biało po horyzont. Drogi w zaspach
skute lodem. Cisza martwa wokół.
Czarno. Znów pijana hycli warta
mierzy w niebo bo przefruwa sokół.

Ciepło. Błogo. Krew śnieg kropłą brudzi.
Ktoś przemyka w mroku – lud wygnany.
Kwitną wiśni sady pełne ludzi.
Eli, Eli lamma sabahtani.

Cisza. Tylko kur spłoszony pieje.
Głuche tępe kroki i szczęk broni.
Strach i zimny pot na mokrej skroni.

Świta. Od Zadymnych pól wiatr wieje.
Przerażliwie jak nóż suki wycie.
Matka syna tuli. Młodo oddał życie.

Niewiersze
Henryka Gały

Jasność

Zauważyłem, że zmienia mi się charakter pisma. Nieznacznie, ale dla kogoś, kto czyta te gryzmoły, zauważalnie. Kształt liter ten sam, jedynie akcentowanie niektórych inne, jak w de, które piszę z francuska, z laseczką wyciągniętą na lewo w łuk, co ma oznaczać skłonność do ekstrawagancji. Przekreślenie te tak samo długie i mocne, jak zawsze. Grafolodzy mówią, że tak piszą osoby o zdecydowanych poglądach.

Pismo stało się bardziej linearne, ciągłe, wyrazi nie porozrywane, pisane bez przerw, w równych odstępach, po dawnemu do samego dołu kartki.

I lewej strony, bo piszę na prawych, lewe są do poprawek, więc na lewych, nawet przy wierszach więcej niezapisanego papieru. Przy kartkowaniu zeszytu jaśniej. Przy odczytywaniu też. Jasność pod koniec, to dobrze czy źle. A może to tylko krótszy oddech myśli, dreptanie emocji, sknerstwo osądzania? Grzeszny staruszek czyli niebyt. A grzeszny staruszek? Da się wymyślić, jest niejeden w literackich kawałkach, ale w życiu, wśród ludzi czyli dzisiaj w Sieci, nie ma szans na złamanie jakiegokolwiek przykazania, zasady, normy, która nie byłaby już unicestwiona. To Sieć jest grzeszna, głosi wielu wyznawców jedynej prawdy, każdy własnej. Co więc pozostaje grzesznemu staruszkowi? Grzeszyć przeciwko starości. W jaki sposób? Każda stara i każdy stary po swojemu, chociaż wszyscy podobnie. Próby odbywają się bez przerw.

Bądźcie wyrozumiali.

Dariusz Pawlicki

Przeciw imperatywowi odbywania egzotycznych podróży

(1)

*Cóż z tego, że wielu rzeczy nie zobaczą.
Wystarczy, że one są.*

Zygmunt Kubiak

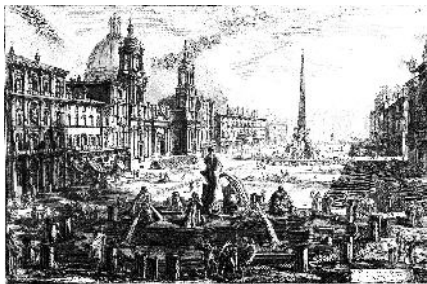
Nie przejawiam, i to choćby w minimalnym stopniu, ochoty do odbywania dalekich podróży, do miejsc nazywanych egzotycznymi. To znaczy do opuszczania obszaru kulturowego, do którego przynależę. W niniejszym eseju przedstawię racje, moje racje stojące za nieprzejawianiem takowych chęci. I uczynię to także dlatego, aby namówić innych do tego samego. A ponieważ jedną z cech eseju, którym niniejszy tekst ma być, jest ujęcie określonego tematu w sposób subiektywny, będę nawet bardzo subiektywny.

Żywię przekonanie, że podróżowanie na inne kontynenty, mam na myśli cele turystyczne, jest wyłącznie jeszcze jednym sposobem na wypełnienie wolnego czasu. Takim samym jak czytanie dla czytania, chodzenie do teatru dla chodzenia, oglądanie telewizji dla telewizji (w przeciwieństwie do czytania dla dowiedzenia się Czegoś; oglądnięcia sztuki teatralnej, aby Coś z Czymś skonfrontować...; włączenia telewizora dla konkretnego programu poświęconego np. robieniu bigosu). Z tym, że podróżowanie, w przeciwieństwie do pozostałych wymienionych sposobów zagospodarowania indywidualnego czasu, wymaga poświęcenia na ten cel, nie godzin, ale dni, tygodni... Wymaga także dysponowania zdecydowanie większymi środkami finansowymi. To znaczy takimi, aby gwarantowały wygodę. A ta jest niezwykle ważna. Bo czyż w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci, przynajmniej na Zachodzie, potrzeba życia w wygodzie, wręcz w komforcie, nie stała się tak silna, że zastąpiła pragnienie szczęścia? Moim zdaniem – zastąpiła. Nakłada się na to jeszcze potrzeba doznawania ustawicznych wrażeń. I to wciąż nowych. W to pragnienie wpisuje się, wręcz idealnie, imperatyw odbywania dalekich podróży. Najlepiej w takie miejsca, w jakie nie udał się jeszcze nikt z rodziny bądź pracy. Owe podróże, obok łączącego się z nimi prestiżu, dla wielu stanowią też rodzaj znieczulenia. A tym, co chcą znieczulić, są problemy. I nie muszą to być wyłącznie kłopoty zawodowe, rodzinne. Problemy mają bowiem to do siebie, że gdy przebywa się setki, tysiące kilometrów od miejsc, w których one „powstają”, zdają się być mniejszymi, mniej doskwierającymi. To znieczulenie potrwa jednak tylko tak długo, jak pozwoli na to stan

konta, Kodeks pracy i, ewentualna, dobra wola pracodawcy.

Ale obok wymienionych powyżej, powód odbywania owych podróży może być jeszcze jeden – nuda, zwykła nuda. Jeśli powodem wyjazdów w odległe zakątki Ziemi, jest jeden z tych, o których wspomniałem powyżej, niech chętni jadą gdziekolwiek, choćby na Wyspę Wielkanocną.

Podróż do innych miejsc może jednak służyć również pogłębieniu indywidualnej wiedzy na ich temat. I w tym momencie należy przypomnieć istniejący w Europie, przed epoką masowego przemieszczania się, której początki sięgają połowy XIX w., pewien obyczaj, wręcz swoistą instytucję. Nazywał się on z francuska *Grand Tour*. Władysław Kopaliński w jednej ze swych nieocenionych publikacji, a konkretnie w *Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych**, podał następujące tłumaczenie tego terminu: Wielki Objazd bądź Wielka Przejazdka (pierwsze określenie jest, moim zdaniem, bliższe istoty zjawiska). A chodzi o rodzaj podróży trwającej rok-dwa lata, jaką odbywali młodzi europejscy arystokraci i intelektualiści. Ci pierwsi czynili to obowiązково w towarzystwie guwernera i pochodzącego z poznawanego kraju sługi-przewodnika. *Grand Tour* będący podróżą edukacyjną, miał na celu poszerzenie horyzontów przez uzupełnienie wiedzy o kulturze i cywilizacji, a także wyrobienie gustu artystycznego, nabranie dobrych manier. Niezmiernie ważną rolę odgrywały w owych podróżach listy polecające umożliwiający nawiązanie kontaktu z ważnymi, z różnych powodów, osobistościami.



Widok placu Navona w Rzymie, rycina Giovanniego Battisty Piranesiego, ok. 1750

Owa forma uzupełniania edukacji narodziła się w Anglii. A za jej ojca uważa się Thomasa Coryata (1577-1617), który w 1608 roku przemierzył pieszo wiele państw wło-

skich (także część Francji). Nie był wprawdzie pierwszym, który odbył Wielki Objazd, ale pierwszym, który w książce swego autorstwa *Coryat's Crudities hastily gobbled up in Five Months Travels in France, Italy, & c* (1611), uwzględnił elementy, które złożyły się następnie na powstanie pojęcia *Grand Tour*. Wymienił, chociażby, obiekty architektoniczne, dzieła sztuki, którym należy przyrzec się na trasie podróży. I choć wspominał o Francji, to jednak szczególną uwagę poświęcił Włochom. Bo też one przyciągały najbardziej, przede wszystkim na początku. Zwłaszcza takie ośrodki miejskie jak Rzym, Florencja, Padwa, Lukka czy Wenecja. W II połowie XVII wieku zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na Francję, ze szczególnym uwzględnieniem Paryża i Wersalu. Zaś w XVIII wieku obszar, którego dotyczył *Grand Tour*, wzbogacił się o kraje przodujące w rozwoju przemysłu i rolnictwa – Anglię i Holandię. Z kolei w II połowie XVIII wieku dużym zainteresowaniem zaczęły cieszyć się niektóre miasta niemieckie. A to ze względu na pełnioną rolę ośrodka władzy (Berlin, Wiedeń, Drezno), kultury (Weimar, Jena, Getynga, Heidelberg, Lipsk), albo też funkcję uzdrowiskową (Baden-Baden, Marienbad).

Wielki Objazd, jeśli chodzi o wizyty we Włoszech, a były one modne przez cały ten czas, miał ewidentny wpływ na rozwój kultury północnej Europy. Chociażby jeśli chodzi o muzykę. Do czego przyczynił się *Grand Tour* odbyty przez takich wybitnych kompozytorów pochodzących z Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego jak np. Heinrich Schütz, Johann Georg Pisendel, Georg Friedrich Händel, Wolfgang Amadeusz Mozart.

Wielki Objazd odbywał się w kręgu spraw, które młodemu Europejczykowi należącemu do tej czy innej warstwy uprzywilejowanej, były już nieco znane. Składały się nań bowiem nazwiska twórców, których utwory przeczytał bądź, w przypadku dzieł sztuki i budowli, o których słyszał np. na studiach. Znane były mu także podstawy wiedzy historycznej obejmującej zwłaszcza, co wówczas uważano za podstawę, starożytną Grecję i Rzym. Bogaty zestaw nazwisk, pojęć, nazw geograficznych, faktów historycznych, którymi operowali wykształceni ówczesni Europejczycy, był bowiem wspólny. Powszechna była też wśród nich, choć na różnym poziomie, znajomość dwóch języków: łacińskiego i francuskiego. Przynależność do tej kulturowej wspólnoty miała miejsce niezależnie od tego, którego państwa było się mieszkańcem.

(Dokończenie na stronie 4)

Przeciw imperatywowi...

(Dokończenie ze strony 3)

Więzi owe spajały także chrześcijaństwo (choć różne składające się na nie wyznania, mogły być w pewnym sytuacjach źródłem problemów). A wszystko to stanowiło, w sumie, określony kod kulturowy.

Powszechnie przy tym akceptowany Kres *Grand Tour*, zjawiska zdecydowanie elitarnego, przyniósł rozwój kolejnictwa, który spowodował umasowienie podróży. Ów masowy podróżny przybywając np. do Włoch zainteresowany był patrzeniem (czy również widzeniem?), przebywaniem w konkretnych miejscach – ich zaliczaniem.

Zjawisko określane jako Wielki Objazd nie istnieje (gdyby je reaktywować, winno ono obejmować całą Europę, jak też, ze względu na pokrewieństwo kulturowe, USA i Kanadę, ewentualnie – Australię i Nową Zelandię). Rozwija się bowiem, i to w najlepsze, to, co sprawiło, że *Grand Tour* przeszedł do historii. To znaczy, wspomniana masowa turystyka, której cechą charakterystyczną jest wycieczka najczęściej trwająca dwa tygodnie. A cóż można zobaczyć w tak krótkim czasie np. w ogromnej Kanadzie? Co można pamiętać, po powrocie do domu, z takiej wycieczki? W przypadku podróży autobusem – przede wszystkim stan moteli, toalet, autostrad; a jeśli chodzi o przemieszczanie się samolotami – poziom obsługi na dworcach lotniczych, ich funkcjonalność. Nie myślę jednak, aby uzyskanie takich informacji było czymś cennym, wartym odbycia podróży. Ale one i tak będą dawały jakiś jednorodny obraz kraju. Nie tak jak w przypadku Amerykanina odbywającego turystyczny, czternastodniowy objazd, z użyciem autokaru, po Europie. Jeśli chodzi o ten drugi przykład celu podróży, to kłania się amerykańska komedia pod znamienitych, gdyż bardzo wiele mówiących, tytułem: *Jeśli dziś wtorek - jesteśmy w Belgii*. Z takiego wojażu europejskiego pozostanie jedynie zestaw zdjęć i filmów wideo, na których zostały zarejestrowane rozmaite obiekty. Nie powiązane jednak z konkretnymi miejscami, nie połączone wiedzą np. historyczną. Owo podróżowanie, z postojami na użycie kamer wideo i aparatów fotograficznych (to, co zostało dzięki nim zarejestrowane, będzie obejrzane po powrocie do domu), odbywa się bowiem na zasadzie: szybko, szybko, już jesteśmy spóźnieni! Równie dobrze, zamiast odbywać taką podróż, Amerykanin może przejrzeć różnotematyczne albumy dotyczące Europy, z uwzględnieniem jej kultury. Chyba, że... pojedzie do Europy z zamiarem spędzenia w niej nie dwóch tygodni, ale roku lub dwóch lat (pewna bliskość kulturowa będzie sprzyjała poznaniu i zrozumieniu). I to nie ograniczając tego kontaktu do zapo-

znania się z Londynem czy Paryżem.

Marzeniem ściętej głowy przy podróżowaniu w pośpiechu, jest kontemplacja. A do tego nie ma ona, wręcz sensu. Żeby bowiem kontemplować, nie trzeba nigdzie wyruszać, nie trzeba nawet opuszczać, nie tyle przysłowiowych, co wręcz dosłownych, czterech ścian. Poza tym podróżowanie nie sprzyja kontemplowaniu. Mało tego, jest jego zaprzeczeniem. O spokoju mającym źródło w niepodróżowaniu, mówią, przytoczone poniżej, myśli sformułowane przez Rosjanina i Chińczyka. Pierwszą z nich, ojca Germana, zakonnika z Wysp Sołowieckich, przytacza Mariusz Wilk w *Odlocie dzikich gęsi*. Brzmi ona następująco:

(...)
czy nie szkoda trwonić czasu na ciągłe wojaże,
skoro można wędrować po
świecie, nie wychodząc z celi? Zatrzymaj się,
(...), a zobaczysz, jak daleko dojdiesz...

Żyjący wiele wieków wcześniej Lao Tsy, w podobnej kwestii, w *Drodze*** wypowiedział się oto tak:

*Możesz poznać świat,
Nie wychodząc z domu,
Możesz ujrzeć swoją Drogę,
Wygłądając przez okno.
Im dalej pójdziesz,
Tym mniej będziesz rozumiał.*



Posągi Memnona, akwarela Dawida Robertsa, 1838.

Natłok wrażeń nie sprzyja zrozumieniu; wręcz mu szkodzi. Tymczasem żądza wrażeń, wciąż nowych wrażeń, jak wspomniałem, dominuje współcześnie. Stanowi po prostu imperatyw. Do tego, po pewnym czasie, poszukiwane są wrażenia jeszcze mocniejsze/intensywniejsze. Na te doznawane dotychczas zostało się bowiem uodpornionym. Podróżowanie też jest przykładem poszukiwania wrażeń. A te, zgodnie z panującym stylem życia, wymagają również wzmacniania; jeśli było się w Egipcie (czytaj: w Gizie i Dolinie Królów tudzież Dolinie Królowych), to następne wakacje (maksymalnie – 2 tygodnie) należy spędzić na Seszelach.

Na moją negatywną opinię co do podróży odbywanych do odległych zakątków Ziemi, obok natłoku wrażeń zlewających się w nijaką całość, wpływ ma, w tym samym stopniu, to, że ich celem są kraje/krainy

należące do innych, obcych kultur. Innych i obcych dla, w tym wypadku, Europejczyka, człowieka, ogólnie rozumianego, Zachodu. Bezcelowość takich podróży zauważał Paweł Hertz, który w szkicu *O podróży**** tak napisał na ten temat:

Nie wyobrażam sobie, żebym miał ochotę pojechać do Chin, Indii czy Japonii. Myślę, że to byłoby daremne, że nic się z tego nie zrozumie. Europejczyk musiałby poświęcić życie, aby poznać religie, obyczaje, zasadę etyczną tamtego świata, jego historię i literaturę. Ja nie jestem ich ciekawy.

To fakt, że Hertz napisał to z pozycji człowieka przekonanego, że z owej inności nic bądź niewiele zrozumie, jak też, wprost, stwierdzającego, że nie jest jej ciekawy. Podobnie jest ze mną. Tymczasem od człowieka współczesnego oczekuje się chłonności, tego, aby interesował się, dosłownie, wszystkim. Rzecz jasna taki jest ideał. Ale jest on nagłaśniany, reklamowany. Do tego nie słycać o żadnej alternatywie w tym względzie. Rezultatem tego jest to, że ów ideał jest przyswajany, w swych założeniach, przez bardzo wielu ludzi.

Pobieżne zaznajamianie się z odrębną kulturą (dogłębne niezmiernie rzadko ma miejsce) np. chińską, może zaowocować użyciem, co najwyżej, cytatów z pism jej przedstawicieli, aby zobrazować głoszony pogląd. A przykładami takich wyimków może być ten przywołany już na stronach tego eseju, z Lao-Tsy'ego, jak też taki oto pochodzący z *Wielkiej przedmowy do Księgi pieśni* (dzieło powstawało od XI do VI w. p.n.e.)****:

Poezja/pieśń jest wyrazem ludzkich dążeń.

Za każdym razem, w przypadku odległych kultur, zabraknie jednak wiedzy gruntownej, przynajmniej w jakiejś jej dziedzinie. Takową posiadają bowiem bardzo nieliczni. Dla pozostałych, jakże licznych (w tym autora niniejszego tekstu), pozostają cytaty.

Ci którzy zachwycają się tym, co oferują inne kultury, w pierwszym rzędzie stykają się z najbardziej spektakularnymi ich „wytworami” (gdyby z takowymi nie zetknęli się, najpewniej nie mówiliby o zachwycie). A na kultury składają się nie tylko wspaniałe, wręcz genialne osiągnięcia, ale i te jak najbardziej przeciętne, zresztą zdecydowanie dominujące. Na gruntowne ich poznanie, na przyjrzenie się temu, co znajduje się za wspaniałą fasadą, decyduje się jednak bardzo niewielu.

cdn.

* W. Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*; Wiedza Powszechna, Warszawa 1988.

** Lao Tsy, *Droga*; przeł. Michał Fostowicz-Zahorski; Rękodzielnia „Arhat”, Wrocław 1992.

*** *O podróży. Rozmowa z Januszem Majcherkiem i Markiem Zagańczykiem*, w: Paweł Hertz, *Patrząc inaczej*; Pavo, Warszawa 1994.

**** Adina Zemanek, *Wprowadzenie do Estetyki chińskiej. Antologii*, red. Edyta Podolska-Frej; Universitas, Kraków 2007.

Mniej Więcej (170)



Foto: Zofia Mikuła

Apocalypsis cum figuris

Już tytułowy wiersz tego tomiku zapowiada, co było wcześniej i będzie dalej. Oto on: *budzik z opóźnionym zapłonem wciąż tyka. nie śpię / czuwam. W pokoju obok ktoś nerwowo szura / łapcami. też nie śpi. kto z nas pierwszy odnajdzie / zapalnik. kto uruchomi kto zgasi? / słyszę kroki / pod drzewami na ulicy. jedni czekają drudzy się kryją / zdezororientowani jeźdźcy apokalipsy zatrzymali na chwilę / rumaki. Podchodzą do nich i karmią je / suchym chlebem trzymanym na wszelki wypadek. może // to właśnie ten moment...*

Leszek Żuliński

Jeszcze nie wiemy, o co chodzi, ale ta aura będzie się panoszyć we wcześniejszych i późniejszych wierszach.

Niby w tych wierszach dzieją się konkretne wydarzenia, ale one są poniekąd somnambuliczne, wyjmowane ze snów. Ale przede wszystkim wsiąkamy w tej lekturze w destrukcję życia, w jakiś spleen rodem z apokalipsy, jakby Kafka lub Bunuel opowiadali swój świat. Głęboko introwertyczny, brany z głębi jakiejś tajemnej studni. Czy jest tu lęk? Raczej zakleszczenie się we własnym pejzażu, który rozwijał się latami.

Podczas lektury zastanawiałem się, jakby te wiersze skomentował psycholog. Ale przecież Zawadowski żyje na co dzień normalnie w realu, więc cała ta sceneria bierze się z głębokiego dna jego obaw. Mniejsza o to, czy wymyślonych, czy jednak przeżywanym – tak czy owak ten cykl jest refleksją potencjalnie ostrzegawczą dla nas wszystkich.

Posłuchajcie jeszcze jednego wiersza pt. *widok na pokój: kiedyś sądziłem że pokój jest jak powietrze. można / nim oddychać i cieszyć się do syta. któregoś dnia / jednak pod drzwiami pojawili się zamaskowani / żołnierze bez mundurów z karabinami załadowanymi / nienawością. wtedy zrozumiałem co to strach i*

*że nic / nie jest darowane na wieczność. w niedalekich miastach / zaczęli ginąć ludzie. wychodzili na ulice młodzi chłopcy / i wyra-
stały im siwe brody a z minuty na minutę
wypadały / włosy. kobiety chowały dzieci do
łożysk i kurczyły się / na odgłos kroków na
schodach. stałem w drzwiach // i patrzyłem
jak rozpada się pokój.*

I tak pobrzmiewa cały ten tomik. Przejmujący, traumatyczny, w sumie ponury, mielący w interiorze wewnętrznym zewnętrzność świata. Jak to się ma do realu? Ha!, nonsensowne pytanie, bo autor żyje nie tyle realnie konkretnym, co po prostu quasi-psychicznym. A wtedy, jak wiecie, błyskawice na ziemi i niebie biją innymi uderzeniami. Ja byłem podczas lektury zafascynowany tym doznawanym przez Tadeusza pejzażem. I zaniepokojony. Ale to już jego musielibyśmy spytać, czy to wszystko jest jego alter-ego, czy po prostu literacko skomponowana sceneria.

Tak czy owak drugiego takiego zbioru nie znajdziecie. Miejmy nadzieję, że ten mrok się rozpyła, kiedy wstaje słońce. Znalazłem tu jednak także inny wiersz, pocieszający, dedykowany nieznaney nam Ewie, a zatytułowany *czas wyjścia*. Oto on: *bardziej od śmierci boli świadomość / rozłąki z tobą. wprowadzie tylko na chwilę / zwaną wiecznością ale przeciwieź każda minuta / bez ciebie staje się zapowiedzią nieskończoności. / pocieszam się nadzieją że po drugiej stronie skreślono / czas z listy wymiarów. póki co zbieram / każdą kreskę twojego uśmiechu i buduję z nich / labirynty aby oddalić moment // wyjścia.*

No więc wciąż jeszcze zdarzają się Eurydyki, które towarzyszą Orfeuszom. W osobliwej ponurości tych wierszy ten jest poniekąd erotykami i jakimś promieniem w tych mrocznych pejzażach.

Powtarzam: nie znajdziecie drugiej takiej opowieści o mroczności życia, jaką opisał Tadeusz Zawadowski. Nie znajdziecie drugiej takiej dykcji. Ja bez euforii oświadczam, że przeczytałem wiersze, jakich dotąd nie spotkałem. Kłaniam ci się, Tadiusz, do ziemi za ten tomik.



Tadeusz Zawadowski, *Budzik z opóźnionym zapłonem*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 70.

Tadeusz Zawadowski

Widok bez lustra

próbuję zbudować lustro. zbieram małe
kawałki kryształu i sklejam śliną – taka
nie trwa
konstrukcja – przecież wszystko się zmienia
ulega destrukcji. moja twarz w bruzdach
zmarszczek
rozpada się na zachodzące na siebie twarze
starca
i dziecka. trudno je rozdzielić. przenikają się
wzajemnie jak czerń z bielą. patrzę poprzez
pusztą
ramę od lustra na krajobraz
beze mnie. w ogrodzie kwitną bzy.

nie mów mi o jutrze

nie mów mi o jutrze, to taka umowna data
wymyślona na potrzeby chwili, wciąż trwa
dzisiaj, jeszcze
ciągle mogę nie oglądać telewizji i liczyć
spadające
z drzew liście, mam czas do zimy czyli kilka
miesięcy.
później mogą odłączyć prąd. elektroencefalo-
grafii pokaże prostą
po której należy przebiec na drugą stronę.
a co jeśli jutra nie będzie i pozostanę wielkim
znakiem zapytania
z wiecznie otwartymi z przerażenia ustami?
teraz mów do mnie jeszcze
oczyma dotykiem dłoni muśnięciem włosów
po policzku, słowa tetmajera
mieszają się z kroplami potu na czole, coraz
bliżej
do zimy. liście przykryje biała niepamięć w
której
skryję się razem z moją mrówką, noszę ją w
sercu
jak talizman chroniący mnie przed sobą.
o północy zatrzymał się zegar i nie wiem po
której jestem stronie.

budzik z opóźnionym zapłonem

budzik z opóźnionym zapłonem wciąż tyka.
nie śpię.
czuwam, w pokoju obok ktoś nerwowo szura
łapcami, też nie śpi. kto z nas pierwszy
odnajdzie
zapalnik, kto uruchomi kto zgasi? słyszę kroki
pod drzwiami na ulicy, jedni czekają drudzy
się kryją.
zdezorientowani jeźdźcy apokalipsy
zatrzymali na chwilę
rumaki, podchodzą do nich i karmią je
suchym chlebem trzymanym na wszelki
wypadek, może

to właśnie ten moment...

Barbara Gajewska

Wyłoniła się z czekania

tego dnia nie stało się nic
nieco zaskoczyła nas pogoda
tak pięknie wirowały płatki śniegu
tak cicho pękały sople rąk

wtedy z mojego czekania
wyłoniła się
taka jedna

nie czas było pytać
wiedziałam że gdy pada śnieg
klaksony i uliczne lampy
wprowadzają wieczór do innego wymiaru

taka jedna istniała bez aplauzu
czas bezszelestnie rozwijał przed nią drganie
tamtego światła

tak też można
bez głębszego oddechu
bez rąk i bez zarzucania sieci
tylko po co wtedy patrzeć na chmurność
umierania
i udawać że się widzi srebrną poświatę słowa

taka jedna
miała ciepłe ręce

Furor Poeticus

oddech miasta
wlewa się przez otwarte okno
jest jak powódź
wypełnia szczeliny między ciałem a duszą

oddech takiej jednej
tonie w oddechu miasta
sen przywoływany codziennym rytuałem
zgubił trop

taka jedna
będzie dryfować po odmętach nocnych godzin

może poniosą ją
na wyspy szczęśliwe pierwszej miłości
a może na kamienisty brzeg
pierwszej śmierci

taka jedna
zapala żagiew wiersza
chce widzieć drogę

nad ranem
odnajduje
bursztyny swoich słów

Święta

nie odpędza złego znakiem krzyża
nie przywołuje Bożej łaski jak wiernego psa

nie zsypuje przed obrazy różańcowych zaklęć
nie zgarnia z ołtarzy dumnego ukojenia nie
zakrywa hosanną dylematów

zagrzebana po uszy w dniu wielostrunnym
otoczona sforą niezadanych pytań
widzi jak gną się wytykane palcami racje
wie że palce nie są po to by wytykać
umie trzymać swoje palce w ryzach
by nie robiły dziur w cudzym niebie
czuje jak uwierają konieczności
słyszy jak umierają zadziwienia

zbiera trele i zgrzyty
kwilenia i grzmoty
na przedwieczorne pragnienia
na przedwieczorny niepokój

nocą
zatrząskuje w sobie
nagość dnia

taka jedna
brzoza z popękana korą wiary
trwa

Nocą

w noc wpada się czasem
jak w wawóz
na dnie kłębowisko myśli
szorstkie jęzory zdzierają sen z ciała
boleśnie
jak skórę

taka jedna nie śpi

potknięcia kopnięcia
niedomówienia przejęzyczenia
błędy
osiadają na ścianach pamięci
jak natrętne muchy

jak zbudować choćby niewielkie czółno
żeby dotrzeć do zrozumienia

taka jedna wie
tylko drugi człowiek może być bezpiecznym
czółnem

tylko drugi człowiek może wywrócić czółno
w najbardziej niebezpiecznym nurcie

jak dobrze byłoby nie wiedzieć
myśli

obok
w kłębkę beztroski
drzemie kot

Taka jedna przed nocą

taka jedna
przeszła przez kolejny dzień
suchą stopą

przed nią kolejna noc
do pokonania
i wołanie białej lokomotywy

taka jedna nosiła już tyle czasu na miarę

tyle miary na czasie
znosiła płaszcz podrzucony jej przez Godota
i mogłaby nosić wysoko głowę
śmiać się w twarz lękom i obawom

wie
że można usiąść pod dowolnym drzewem
i nie czekać

tylko nie rozumie
dlaczego kolejna noc
jest jak jaskinia Polifema

Wolontariuszka

wsiąkała w tę noc powoli
chrapliwym oddechem
coraz dłuższym bezdechem

chwyciła powietrze
jak rzucona na piasek ryba

otwierała wyschnięte usta
by wiedzieć
że nie ma słów
czasem poruszyła nogą
by wiedzieć
że nie ma drogi

taka jedna
oddawała się śmierci
w dziewiczym akcie akceptacji

i tylko gdy wolontariuszka
zmieniała mokre prześcieradło
słabnąca ręka
wciąż kurczowo trzymała
życie

Pełna łaski

nie wyrzeźbił jej żaden Pigmalion
nie wygładzał zachwytem piersi i ud
nie stawiała się bytem doskonałym
w jego pożądaniu

żaden Orfeusz nie biegł za nią na oślepie
i nie gubił pieśni
by przywołać choćby jedno dotknięcie
na rozstaju światów

żaden Odys nie wracał do niej
przez wzburzoną obcość
nie włókł za sobą zapachu domu
by pamiętać

nie miała swojego Tristana
by mógł chronić ją przed trędowatymi
którym została rzucona
na pożarcie

a przecież była pełna łaski
taka jedna
umiała dogadać się z Cerberem
by nie warczał na cienie umarłych pragnień
zgarniała nadejścia i odejścia
w piramidy trwania

Jolanta Michna

Zmartwychwstał Pan

*To miłość nawraca serca i daruje pokój ludzkości,
która wydaje się czasem zagubiona
i zdominowana
przez siłę zła, egoizmu i strachu.*

Jan Paweł II

we mnie w tobie
w nas
wbił gwoździem miłość
miłość w krwistym kolorze
znak Miłosiernego Boga
pojednania i przebaczenia
s(pokoju)

otworzył wnętrze
wtapiając załazek nadziei
niechaj dotrze do każdego człowieka
nowina
dobra nowina
niechaj rozleje się jak morze
z wiatrem niczym liść poszybuje
spadnie deszczem
na wszystkie krańce ziemi
by słońce otuliło niebiańskim ciepłem
skrzepowaną ludzką egzystencję

Miłość nawraca zagubione serca
i pokój ścięła niekończącym dywanem

a ty
a twoje
gdzie jest serce

* * *

Krzyż - kiedy miłość idzie za daleko.
ks. Jan Twardowski

gubi ślady
pali niewidzialne mosty
stąpa nierozważnie
nie czuje bólu
jak bezbronna biedronka
unoszą się
doświadcza daru latania
słucha
wypowiada słowa
gdy przestanie mówić
milknie
kamień zaklęty na wieki
na ramionach krwawy krzyż
opamiętania

* * *

popiół na głowie
to tylko symbol
który uświadamia przemijanie
pokazuje że wszystko to co
materialne doczesne
któregoś dnia zgaśnie

jak płomień świecy

popiół na głowie
to tylko znak
do nawrócenia do pokuty
do wiary że Bóg jest wieczny
że dał nam nieśmiertelną duszę
utwierdził w przekonaniu
o wiecznym szczęściu w niebie

Zanurzył się

zanurzył się w rzece Jordan
w rzece ludzkich grzechów
zmagając ze złem i dobrem
doświadczał pokus
jak ja czy ty
kuszony na pustyni
przez czterdzieści dni
aż do śmierci na krzyżu
zwyciężył
pokazał możliwe niemożliwego

otworzył niebo
rzucając się wprost w przepaść
grzechu
po co?
by nas słabych ludzi
wyratować wyciągnąć
z otaczającego zewsząd brudu

Krzyż

krzyż ma wiele gałęzi
wydawałby się
że wygląda jak rozłożyste drzewo
z wystającymi korzeniami
dotykając niejednego
a niezliczoną ilość serc

krzyż ma wiele drzewi
każdego dnia otwiera inne
w innym czasie miejscu

jest jak pień
od którego nie można się oderwać
i bez którego nie da się żyć
bo w nim jak w złotym lustrze
wolno dostrzec i zrozumieć
sens istnienia

* * *

weź chustę otrzyj twarz
nie to nie Weronika
to ja
niby czysta
niby bezgrzeszna
niby prawdziwa
z sercem wyrytym na dłoni

weź chustę otrzyj twarz
niech wsiąknie
purpurą zabarwi
i odbije miłości oblicze
naznaczone drogą krzyżową

nie to nie Weronika

to ja Panie codziennie
podaję porozrywany welon
niekiedy
nie do zszycia

W dzień środy popielcowej

Panie przychodzę do Ciebie
w zadumie
z opuszczonymi powiekami
klękam w zamyśleniu
patrzę oczyma duszy

jestem jak krucha gałąź
którą można złamać
skruszyć na popiół
symbol przemijania
doczesności i materializmu

zatapiam serce w pokucie
błądząc myślami
bezzradnie i bezsilnie

wyciągam dłonie
ku wieczności
ku nieśmiertelności
by móc oglądać Twoje oblicze

Jezu

Jezu Twoje rany
otworzyły bramę
nieśmiertelności

wbiły drzazgę w serce
moje i twoje
uświadomiły siłę
zmartwychwstania

Jezu Twoje rany
zadane grzechem
ludzkości
krwawią każdego dnia
i każdej nocy

zatonione w męce
odnoszą ponadczasowe
zwycięstwo

Co czujesz kiedy patrzysz

co czujesz
kiedy patrzysz na krzyż
po którym
krew spływa strugami
wsiąka w ziemię
i barwi niejedne stopy

co czujesz
współczesny człowieku
gdy wtapiasz wzrok w ciało
przeszyte na wskroś ranami
drżysz
a może przechodzisz obojętnie
jak ci którzy ukrzyżowali niewinne
życie

Felicja Borzyszkowska-Sękowska

Polski Sartre i Jego Simone

Maria Szyszkowska i Jan Stępień (1)

Obserwując tę parę znajduję wiele analogii z Simone de Beauvoir i Jeana Paula Sartre. Otóż nominowana do Pokojowej Nagrody Nobla prof. dr hab. Maria Szyszkowska i Jan Stępień niosą w sobie wiele podobieństw. Z tą różnicą, iż Stępiowie są małżeństwem a Sartrowie nie. Nigdy nie byli, chociaż w świadomości społecznej funkcjonowali właśnie jako wieloletnie stałe małżeńskie doskonale zintegrowane i promieniujące na innych przykładem wielkiej więzi i wzajemnej pomocy. Zupełnie jak Stępiowie. Jednak nikt ich tak nie nazywa, ale jeśli już ktoś chce podkreślić spójność jaką na zewnątrz promieniują – nazywa ich: Szyszkowscy. Od nazwiska żony, Marii – właściwie tego już nie muszę dodawać. To czasem brzmi jak zapowiedź Wielkiego Matriarchatu, jaki ma rozwinąć się – według prognoz nie tylko astrologicznych – na przestrzeni XXI wieku.

U Sartrów dominował filozof – Jean Paul. Natomiast Simone de B. przeszła do historii literatury jako pisarka. Wzajemny wpływ na siebie mieli ogromny.

„U Szyszkowskich” dominuje filozof – Maria. Jan przejdzie – miejmy nadzieję (i nacisk na wydawców, bo to teraz sprawa najważniejsza!) przejdzie do historii literatury jako pisarz.

Ich wzajemny wpływ jest ogromny. Oboje bardzo sobie pomagają. Jednak w kwestii, kto komu więcej niechże wypowiedzą się sami, jak sami wypowiadali się Sartrowie. A robić to musieli często, zwłaszcza gdy czytelnicy twierdzili, że gdyby nie pomoc męża książki Simony nie powstałyby lub nie zostałyby wydane, a tym bardziej nagradzane (np. Nagroda Goncourtów itd.).

Ponieważ byli wolni w każdym calu – wybaczali sobie wzajemne zdrady, których wcale zdradami nie nazywali. Zainteresowani innymi członkami płci odmiennej było dla nich jedynie poszerzaniem wiedzy o drugim człowieku, uspołecznianiem.

Stępiowie są moim zdaniem jakby prekursorami nowego ładu w stadłach interpersonalnych, co wcale nie znaczy odwrócenia ról, jakby to nazwali tradycjoniści. Chociaż na zewnątrz można by i na coś takiego wskazać.

Tu dominuje kobieta! Ta autorka ponad 40 książek wydała w roku 2008 „Dzieje filozofii”. Nie miejsce tu na omówienie tego dzieła, lecz muszę podkreślić jego wielkie znaczenie wskutek ukazania rozwoju filozofii w Polsce, gdzie ma być przewodnicząca życia jednostek i narodów. I choć polska oryginalna myśl filozoficzna powstała dopiero w drugiej połowie XIX wieku jest ona znacząca na tyle, że jest w niej dążność życiowa, praktyczna. Tylko że my tego nie doceniamy! I choć uświadamiamy sobie, iż nie mamy

osiągnąć cywilizacyjnych, którymi moglibyśmy zaimponować światu – mamy przecież duży dorobek kulturalny! Ten właśnie mógłby „wnieść twórczy ferment w rozwój duchowy Zachodu” podkreśla autorka wskazując też, iż „charakterystyczne jest dla polskiej filozofii podkreślanie wartości czynu”. Ubolewać tedy możemy, iż nasza filozofia jest mało znana własnemu narodowi, dlatego też wiele książek tej filozofki napisane jest tak, że potrafi trafić do szerokich mas.

Pisarka ubolewa też nad faktem, iż to właśnie nieznanostwo polskiego dorobku kulturowego wytworza postawy mikromanii narodowej. Ta mikromania to owo dręczące nas, nieuzasadnione poczucie, iż Polacy są gorsi od innych narodów. Ileż w tym mieści się bólu, tzw. kompleksów niższości, usługności, zwłaszcza względem krajów zachodnich, ślepego naśladownictwa, dążności dorównania nie zawsze do najlepszych wzorców. To właśnie owa mikromania sprawia, iż na owym poczuciu niższości zasadza się antysemityzm, zazdrość i zawiść względem czyichś wyższych osiągnięć.

Tymczasem Polska ma nie lada osiągnięcia i właśnie prof. Szyszkowska nam to uświadamia. W swym dziele historycznym wiele miejsca poświęcając właśnie charakterystyce polskiej filozofii odstania nam tajniki osobowości i tego czym promieniowali na współczesnych takich osobistości, jak znane dotąd tylko w literaturze czy innych dziedzinach nauk jak Franciszek Fiszer, Lutosławski, Trzebuchowski, Chojnacki, Czeżowski, że o Tatarikiewiczu czy Kotarbińskim nie wspomnę, bo akurat ci dwaj są znani wszystkim wykształconym w Polsce, natomiast nazwiska Juliana Aleksandrowicza czy Kazimierza Dąbrowskiego już nie. A szkoda i chwała Szyszkowskiej, że wyłania te osoby z mgieł zapomnienia. Bo np. Aleksandrowicz znany jest w świecie medycyny, gdzie był profesorem. Tymczasem – co sama mogę stwierdzić poznawszy go dzięki Irenie Gumowskiej, z którą nawet pospołu napisał bestseller nie tylko kulinarny zatytułowany „Kuchnia i medycyna” – swoje poglądy potrafił przekuć w rzeczywistość i wierzyć w ostateczne zwycięstwo słusznych idei. Toteż sformułował nawet jedenaste przykazanie: „Nie trać nadziei”. Osobiście dodałabym jeszcze dwunaste: „Bądź odpowiedzialny”, bo za katastrofy ekologiczne odpowiedzialność ponosi człowiek. Zarówno za te wielkie jak i małe czy te w... kuchni. Dlatego pewnie ten lekarz i filozof tak cenił pisarstwo niedoścignionej dotąd pomimo zalewu kolorowej pracy i książek kulinarnych – Ireny Gumowskiej.

Chwała Szyszkowskiej za to, że do rangi filozofii podnosi teorię dezintegracji pozytywnej Kazimierza Dąbrowskiego. I znów

wynurza się tu polskie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie” – jakie usłyszałam w odniesieniu do tego psychiatry, kiedy z M/S Batory dobiłam do kanadyjskiego wybrzeża Atlantyku, bo chociaż już od lat wykładałam studentom pedagogiki pryncypia psychologii wynikające z jego badań i przemyśleń, iż psychoneerwica to nie choroba, lecz wyższy stopień rozwoju psychiki człowieka i jego możliwości twórczych – u nas badacz ten i twórca tej teorii nie znalazł nawet należytych warunków do rozwoju swej nauki. Znalazł je dopiero w Kanadzie i – że pozwolę sobie na osobiste wspomnienie, gdy z patriotyczną dumą przedstawiałam się naukowcom w Kanadzie, iż przybywam z ojczyzny Dąbrowskiego, miał spodziewanego miłego powitania usłyszałam: „Zabiliście nam tego psychologa! Bo umarł ze zgrzyoty, bo nie miał warunków rozwoju, jeno zawiść niszcząca”. Ale jego nauka przetrwała i pomaga psychoneerwicowcom w wykorzystywaniu swych zdolności twórczych.

Czytelnicy tomiku wierszy „Echa lat” zwrócili się do mnie, iż „trzymają mnie za słowo” bym napisała zapowiedziane tam „Siedem duchów wielkich polskich Marii”. I choć pierwotnie miałam na myśli ducha zmarłych Marii tj. Marii Skłodowskiej-Curie, Marysieńki Sobieskiej, Marii Dąbrowskiej, Marii Szymanowskiej czy Kalergis – czytelnicy przyzwyczajeni do tego, iż zwykłam prezentować bohaterów naszych współczesnych dopytują się o publikację zwartą, ukazującą dokonania nam współczesnych Marii. Szymanowskiej i Kalergis poświęcałam nawet monodramy i choć nagrodzone w konkursie literackim nie doczekały się jeszcze wystawienia na scenie.

Opublikowałam już sylwetki Marii Fołtyn, Marii Burzyńskiej znanej bardziej jako Mira Zimińska-Sygietyńska, szpalty książek z cyklu „Być...” zdobi też Maria Szyszkowska. Ta bohaterka jaśnieje tyłoma blaskami na łamach książek i kolumnach gazet, przeprowadzono z nią tyle wywiadów, że nie chcąc się powtarzać, a byłoby to chyba nieuniknione w prezentowaniu tego filozofa – wybrałam formę listów pisanych do Marii i Jej męża pisarza, poety, rzeźbiarza i rysownika Jana Stępnia. Ukazują w nich m.in. meandry percepcji ich książek przez przedstawicieli różnych środowisk. Nie miejsce tu na omówienie kilkudziesięciu książek tej poczytnej autorki, uczoney i artystki też, tym bardziej że nieustająca, wielce aktywna działalność tej heroiny polskiej sceny społecznej stale zdaje się poszerzać i jednocześnie zadziwiać rozległością nie tylko wiedzy, ale też zainteresowań.

Zasadnicza działalność nauczyciela akademickiego mieści w sobie cały konglomerat zainteresowań i sposobów oddziaływania na szerokie rzesze społeczeństwa nie tylko na młodzież uniwersytecką.

Pytana o młodzieńcze fascynacje wspomina, iż wprawdzie zaczęła studiować geografę, ale rychło zainteresowania poszybowały gdzieś hen w inne dziedziny wiedzy. Jednak nie pozostała tylko przy studiowaniu prawa, która wprawdzie ukończyła, ale ukończyła też filozofię, której poświęciła się do dziś tworząc zręby nowego działu filozofii codzienności, którą wprawdzie przypisywano już twórczości Stanisława Dygata, jednak zręby naukowości nadaje jej dopiero Pani Profesor. Stworzyła też i wiele lat nauczała filozofię polityki. Ale o tym napisano już b. wiele.

Warto podkreślić fakt, iż MS niejako utworowała drogę kobietom – filozofom. Ta nauka bowiem przez wieki już od starożytności zarezerwowana była dla mężczyzn. Dlatego już niejednokrotnie podkreślałam, iż nazwać ją można Pierwszą Gwiazdą jasno świecącą na firmamencie filozofii. Dopiero za nią poszły inne. Ale żadna nie napisała tyle książek! A jeszcze... polityka.

Ta dziedzina pochłonęła filozofkę całkowicie na przełomie wieków. Została wybrana senatorem RP. Jej rezydencję na Saskiej Kępie zaczęli odwiedzać ludzie, którzy nigdy dotąd nie wierzyli w pomoc parlamentarzystów. I nie byli to tylko odmiennicy. Szyszkowska zawsze pod prąd. Odnaczając się niezwykłą odwagą cywilną zawsze podejmowała tematy niepopularne. Zasłynęła projektem ustawy mającej na celu obronę i równe prawa dla osób homoseksualnych. Jest to teren niezwykle śliski, a defekty osobowościowe osób dotkniętych, kochających inaczej nie zawsze pomagają w tym, aby im pomagać. Przerysowanie niektórych form manifestowania swej odmienności zaszkodziły tej skądinąd bardzo nobliwej damie. Homoseksualności po prostu nie potrafili docenić tego, co się dla nich robi. To właśnie ogromnie wrażliwe serce – a nie na odwrót, jak chcieliby niektórzy – sprawiło, iż Pani Senator przygotowała projekt ustawy o możliwości zastosowania eutanazji względem osób nieuleczalnie chorych, jak również nie mogących znieść głębokich cierpień psychicznych. Oczywiście na ich własną prośbę. To osoby w swej własnej świadomości dopuszczające nadużycia w tym względzie dopatrują się możliwości zabójstw czy naśladownictwa hitlerowców, a przecież ci stosowali eksterminację. Łączenie eutanazji jest przejawem złej woli, bowiem Hitler zabijał tych, którzy chcieli żyć. Osoby, które już w życiu naprawdę cierpiały, wiedzą co znaczy możliwość uzyskania ulgi czy końca cierpień, które i tak całkowicie paraliżują życie człowieka.

Aż dziw, że ktoś mógł podejrzewać tę wrażliwą kobietę o chęć mordowania ludzi.

Powodzenie jakim cieszyła się na fotelu senatorskim wynikało niewątpliwie z czułości na problemy szarego człowieka, na potrzeby ludzi przeciętnych, zagubionych w codzienności, zawiodło ją do chęci zasiadania na fotelu prezydenckim. Przyjaciele namawiali antycypując wielkie powodzenie wśród

szerokich mas. Niestety, zawiedli ci, którzy najczęściej zawdzięczali i choć zbierając podpisy mogliśmy przekonać się o wielkiej miłości tych, którzy doceniali działalność, to jednak niektórzy członkowie komitetu wyborczego kradnąc listy z podpisami zapewne komuś się przysłużyli, bo znaleźli się na listach wyborczych do parlamentu.

Wyznała mi kiedyś, iż jej dziecięcym marzeniem było pisanie powieści. Ci, którzy czytają jej książki, wiedzą, że płyną z nich nie tylko naukowe treści, że wrażliwość kobieca pomaga Jej w trafianiu nie tylko do umysłów ale też serc czytelników. Natomiast fakt, iż wyposażona jest też w męskie komponenty umysłowości, promienieje nie tylko na możliwości wszechstronnego rozwoju osobowości, ale też uprawianie męskiej dotąd dziedziny, filozofii. Z utęsknieniem więc czekamy na zmniejszenie (bo przecież nie ustanie) aktywności na niwie profesjonalnej aby swą zadziwiającą empirię życiową przelała na strony beletrystyki ubarwiając adekwatnie do swych nieograniczonych możliwości wynikających z prawdziwych i wielce rozległych talentów.

Szczególną dziedziną działalności prof. Szyszkowskiej jest organizacja konferencji naukowych. Było ich już bardzo wiele. Tematyka zadziwia różnorodnością, a także odwagą sformułowań tematów np. „O braku wolności światopoglądowej w Polsce”. Tytuł jednoznacznie sugerujący o tym, jak naprawdę manifestuje się w naszym życiu społecznym i politycznym ów brak, czytelnik całkowicie może się przekonać przeczytawszy referaty wygłaszane na konferencji, a potem – jak zawsze opublikowane w specjalnym wydaniu książkowym w Domu wydawniczym tCHU.

Wszystkie konferencje odznaczają się ciekawym doбором referentów i bardzo zaangażowanymi uczestnikami. Dyskusje są zawsze ożywione i co należy podkreślić bardzo swobodne, bo atmosfera stworzona podczas obrad, a także w kuluarach sprawia, iż każdy może naprawdę odślonić swe poglądy i podzielić się przemyśleniami zyskując przy tym możliwość weryfikacji swych sądów. Konferencje odbywają się nie tylko w Warszawie. Do tradycji już przeszły zjazdy mające miejsce aż na „polskich antypodach” czyli na Półwyspie Helskim. Kiedy już milknie gwar letnich wczasowiczów, gdy pustoszeją plaże nawet na sławetnym piasku Chałup do gościnnego Gryfu w Kuźnicy zjeżdżają uczestnicy filozoficznych konferencji i obradując kumulują przerwy w taki sposób, aby znaleźć czas na głębszy oddech nad morzem. Wspólne spaceru u stóp fal morskich w końcu października 2008 roku przesycone były dyskusjami na temat demokracji.

Innym tradycyjnym miejscem konferowania naukowców jest uzdrowisko Nałęczów. Kurort ten zachwyił pisarkę przed laty, kiedy los rzucił ją tam wraz z matką, która potrzebowała intensywnego leczenia. Coroczne wakacje przekształciły się w tradycję, a miasto to ma jeszcze jeden powód do dumy, bowiem obok zaszczytów jakimi obdarzyły Nałęczów osoby Stefana Żeromskiego i Bolesława Prusa, czy arystokratycznego Rodu Małachowskich – Maria Szysz-

kowska i Jan Stępień już zapisali się złotymi zgłoskami w historii tegoż regionu. Oby doceniły to także władze miasta. Mieszkańcy doceniają i nie bez dumy opowiadają wczasowiczom o wyborach pisarzy przyjeżdżających tu, aby nie tylko korzystać z *genius locci* tego osławionego miejsca, ale także aby móc zetknąć się z kontynuatorami idei Żeromskiego czy Prusa, ale także Stachia i Ewy Szelburg-Zarembiny, która również wybrała to magiczne miejsce.

Niektórzy z mieszkańców Nałęczowa pamiętają nawet wielce piękną kartę z życia Wielkiej Marii, otóż kiedy matka była bardzo chora i potrzebowała drogie leki, a córka akurat była w niszy swego życia – nie zważała się podjęcia pracy fizycznej jako kelnerka. Pamiętają także kuracjusze jak z wdziękiem obsługiwała gości Pensjonatu Ewelina. Pensjonat ten dziś – (choć jego właścicielką Pani Ewelina już 11 lat leży złożona chorobą, a odwiedza ją głównie MS) była także siedzibą nałęczowskich konferencji. Uczestnicy cieszą się z możliwości dyskusowania „u wód” jak to tu drzewiej bywało.

W czerwcu 2009 roku Nałęczów, gdzie mieszkają od 10 lat „Sartowie” znów gościł uczonych w historycznej Ewelinie na ogólnopolskiej konferencji. Temat wielce chwytliwy „Wolność indywidualna i obywatelska”. Toteż nawet już po obradach uczestnicy snując się ścieżynkami, gdzie oczyma duszy dojrzeć można ślady stóp wybierających to uzdrowisko wielkich z poprzednich epok: Żeromskiego, Prusa, Szelburg-Zarembiny i in. nadal kontynuowali dysputy o kategoriach wolności.

Nałęczowianie ubolewają, iż ich miejscowa дума, czyli prof. Sz., a także Jan za mało korzystają z uroków parku zdrojowego, że MS tylko przyjeżdża i odjeżdża do pobliskich Strzelc lub szybko bieży na piechotę do swej chatki. A jest to istotnie chatka. Przepiękna, ale chata, bo mylą się ci niezorientowani, którzy w świat ślą informacji, iż profesor willę wielką i piękną sobie zbudowała (nie wiadomo za co). Tak twierdzą wrogowie i to w dodatku niezorientowani. Że piękną, to fakt. Bo Maria jest estetką i wszystko wokół Niej jest piękne. Wnętrze chatki też. I tak wiele w niej zrobione jest rękami Jana Stępnia. Domek ten już ma znamiona muzeum regionalnego, biblioteki naukowej i beletrystycznej też. Powstają tu Ich książki. Zjeżdżają tu Ich przyjaciele. Tu odbywały się też spotkania Klubu Don Kichotów. Któż to taki? Ot, to jeszcze jedna dziedzina działalności Marii. Powołała do życia Klub Don Kichotów. Ideą Klubu jest wzajemne wzmacnianie się psychiczne tych, którzy są istotami twórczymi i nie znajdują dla siebie zrozumienia we własnych środowiskach.

Po stolicy, półwyspie helskim i Nałęczowie ekspansja Marii sięgnęła Małopolski. W marcu 2009 roku zorganizowała konferencję w zabytkowym Tarnowie. Gospodarze regionalni stanęli na wysokości zadania.

cdn.



Stanisław Grabowski

„Obłoczek” redivivus!

Niezwykła żywotność i pomysłowość, wielka wyobraźnia doprawiona znajomością kultury, ale i życia, wyczulona na każdy fałsz, świetny warsztat poetycki, wszystko to kumuluje się w poecie i satyryku Wojciechu Dąbrowskim, ograniczam się w tej recenzji tylko do tej jednej jego roli, bo gdybym chciał napisać o wszystkich! Ponadto trudno dziś o satyryka z większym poczuciem humoru, bardziej wyczulonego na to, co się u nas dzieje w społecznej przestrzeni. Gdy spotyka się z głupotą urzędniczą i każdą inną, gdy widzi jak pycha kroczy przed upadkiem, a arogancja ściga się z niewiedzą, nie ma litości bez względu na odzienie mniej czy bardziej fioletowe i hierarchię. To współczesny Stańczyk, który jednak nie jest na utrzymaniu króla. Dziś Stańczycy są *demodé*. Dziś potrzeba pochlebców, wazeliniarzy, cynicznych graczy, którzy zgrzywają się do szczętu, zapomniawszy o... honorze. W wielkim skrótce, to właśnie honoru broni i stale o nim przypomina satyryk. Jemu podporządkowuje swoje kąśliwe pióro. „Kończ waść, wstydu oszczędź”, zdaje się mówić każdym swoim tekstem. Niestety, na królewskim dworze – mówiąc aluzyjnie – udają, że nie widzą, iż władca jest nagusieńki.

Wojciech Dąbrowski wydał ostatnio kilka ważnych książek, które chwalił nie tylko Jacek Fedorowicz. Otrzymaliśmy właśnie jego nową książkę pt. „Obłoczek” 2017. *Magazyn autorski. Zbiór wierszy, piosenek i satyr 1951-2017*, w której autor na ogół słowem rymowanym zdaje nam relację ze swego żywota. Jest po siedemdziesiątce, ma więc chyba prawo do próby życiowego bilansu. Najogólniej, od wczesnych lat młodzieńczych dwie wielkie pasje nim kierowały: harcerstwo i matematyka. I to już wystarczałyby, żeby wypełnić niejedną życiorys. Ale nie z Dąbrowskim te numery! Dąbrowski ciągle przekracza kolejne granice, nieustannie wyznacza sobie nowe cele i nowe obowiązki, na ogół o charakterze ogólnopolskim. Ocenic zatem to, co u niego jest najważniejsze, zaklasyfikować twórczość, wielkie prace organizacyjne, które wykonuje, spisać podróże, spotkania autorskie, koncerty czy recitale, to trudne zadanie.

W omawianej książce, władając z maestrią rymem i rytmem, sypie dowcipami, sypie anegdotami, wspomnieniami tak bogatymi, tak związanymi z naszą rzeczywistością, że tylko pozazdrościć, albo też zasułuchać się, zapatrzeć, czyli brać wzór, marudząc, iż to niemożliwe, by jeden człowiek tyle przeżył, tyle doznał i dokonał. I na dodatek zostawia nam tego poetyckie świadectwa, nadto dowody przeróżne – dyplomy, zdjęcia, plakaty, czyli „cięższą podajcie mi zbroję”, zdaje się mówić nieustannie, na przekór tym wszystkim, którzy życzą sobie zbroi, jak najłżejszej i jak najłżejszej.

Dobrze, że ukazała się ta książka, to z jednej strony prezentacja świata osobistego, intymnego Dąbrowskiego, nadto jego twórczości podzielonej na stosowne rozdziały; z drugiej to ogromne spektrum polskich wydarzeń z lat 1951-2017. To ogromna przestrzeń wypełniona historią, sztuką, festiwalami, rocznicami... To rodzaj rocznika, w którym zmieściło się dwanaście numerów „Obłoczka”, wydawanych regularnie, co miesiąc, w 2017 roku. Ileż tu przypomnianych np. nazwisk o światowym charakterze, legend przemysłu rozrywkowego, ale nie tylko możemy przeczytać pastisze ich wykonań, wczytawszy się w niego widać, iż autor nie zapomina o tych, których miał przyjemność edukować, śpiewać z nimi przy ognisku, wspólnie szukać różnych życiowych smaków, bywać w górach i nad morzem, i w setkach innych miejsc, jeśli tylko nadawały się pod harcerskie obozowisko.

To, chciałyby się rzec, wielkoformatowe życie poety widzimy właśnie poprzez pismo o nazwie „Obłoczek”. Otóż niewtajemniczeni muszą wiedzieć, że pisemko o takim właśnie tytule Wojtek wydawał własnym sumptem w latach 1951-1955. Panował wtedy kult Stalina, natomiast Wojtuś uprawiał... kult „Obłoczka”, na dodatek na tyle pomysłowego i niecodziennego, iż zachwyił samego Mariana Eile, czyli redaktora naczelnego ówczesnego „Przekroju” wychodzącego w Krakowie, bo też w tym mieście mieszkał z rodzicami i siostrą mały Wojtek (ur. 1945).

„Przekrój” był jedynym czasopiśmie ilustrowanym, które na różne sposoby sprzeciwiało się ówczesnej oficjalnej propagandzie, czy też polemizowało z nią, próbowało dodać nieco blasku szarej, siermiężnej codzienności. Instynktownie, na wpół świadomie, mały chłopiec znakomicie odbierał te fluidy, które co tydzień pismo wysyłało tysiącom czytelników. I stąd zażyły kontakt z „Przekrojem”, wreszcie wysłanie „Obłoczka” do redakcji, z czym wiązała się później korespondencja z Marianem Eile i wizyty w redakcyjnych progach. A były to czasy znakomite dla tego tygodnika, który wśród współpracowników mógł się wówczas poszczycić takim poetą, jak Konstanty Ildefons Gałczyński. To jego duch przenikał redakcyjne pokoje, to nim mógł oddychać mały Wojtek. Po latach okazało się, iż tego „ducha” Wojtkowi wystarczyło na długie lata. Można rzec, iż uścisk Miśtra stał się dla niego rodzajem błogosławieństwa, swoistym namaszczaniem na twórcę. Długo się z nim ukrywał lub raczej nie był doceniany (czy Dąbrowski publikował np. w „Szpilkach”, oto jest pytanie).

W końcu nastąpiła jednak erupcja satyrycznego wulkanu. Strumyki i strumyczki poezji wezbrały w jedną wielką liryczną rzekę i czytając Dąbrowskiego „Obłoczek” 2017... można się tylko cieszyć, iż to domo-

we pisemko zostało reaktywowane po 62 latach. „Obłoczek” redivivus! Brawa dla autora i dla redaktora, nadto dla tego, do którego należy także skład i łamanie pisemka, jego korekta i druk. Wojciech Dąbrowski, jak np. Andrzej Mleczek, powinien mieć swoje stałe miejsce w jakimś ogólnopolskim i cenionym czasopiśmie. Czy ktoś z możliwych żurnalistów mu to zaproponował, dostrzegł ostrość i finezję jego satyry, szybkość reakcji na zło świata tego, jego poetycki refleks, wagę riposty?

Dąbrowski publikuje swoje utwory różnej proveniencji w lokalnym ursynowskim tygodniku „Passa”. Znam ludzi, którzy czytają tylko „Dąbrowskiego”, tylko jego teksty wycinają i kolekcjonują. Pamiętam też w „Passie” „atak” jednego z czytelników na autora. Była to raczej rozpaczliwa żabka, wściekłość człowieka, któremu solidnie dopieczono. Jednak psy szczekają, karawana jedzie dalej. Oto miara sukcesu. Nie każdy satyryk może się tym pochwalić.

Dąbrowski ma wielkich antenatów: Kochanowski, Krasicki, Potocki, Niemcewicz, Boy-Żeleński, Nowaczyński, ze współczesnych: Mrozek, Brzechwa, Tuwim, Gałczyński, Paczkowski... Doprawdy, nie chciałbym wymieniać wszystkich nazwisk. Ograniczam się tylko do kilku tych największych, którzy w „krzywym zwierciadle” pokazywali wady i przywary ludzkie, absurdu społeczne i polityczne, ośmieszali butnych i zadufanych, piętnowali wszelkie zło, wypalali je wręcz „gorącym żelazem”.

Wojciech Dąbrowski dorównuje im w swoich najlepszych tekstach, umie nawiązać dialog z wczorajszym, podtrzymywać ducha przekory i chłostać bez litości tych wszystkich, którzy zasługują na karę, na piętno. Nie żałuję ich. A autorowi życzę, by nigdy się nie zawahał, gdy ogarnia go satyryczna pasja, by dalej tępił wszelkie idiotyzmy i absurdy w naszym życiu, których tak obficie dostarczają nam np. politycy. Sprzeciw wobec głupoty, korupcji, chamstwa, wazeliniarstwa i cynizmu w czterech ścianach własnego domu nie jest trudny. Sprzeciw, ogłaszany publicznie i z nazwiskiem, jest trudniejszy. Przed II wojną światową, a i po wojnie, byli tacy twórcy, którzy zapłacili ciężkim pobiciem lub nawet więzieniem, że widzieli więcej i, że w satyrycznym świetle pragnęli pokazać prawdą, nieuszminkowaną twarz władzy, polityki, określonych grup społecznych... Jednak nie od dziś wiadomo, że „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”.

Wojciech Dąbrowski, „Obłoczek” 2017. Magazyn autorski. Zbiór wierszy, piosenek i satyr 1951-2017, Warszawa 2018.

Adam Lizakowski

Jak zostałem „Noblistą”?

Jesień roku 1988 była dla mnie bardzo pracowita, wcześniej złożyłem podanie o amerykańskie obywatelstwo do Urzędu Imigracyjnego, dlatego musiałem przygotowywać się do egzaminu ustnego i pisemnego. Dużo czasu spędzałem na czytaniu różnego rodzaju skryptów, książek, broszur dotyczących konstytucji i historii stanu Kalifornia, w której mieszkałem, i Ameryki. Tej najnowszej i tej najstarszej historii z czasów wojny z Anglikami. Egzaminów zdałem bezbłędnie i powstała możliwość, że zanim zostanę oficjalnie zaproszony na przysięgę, otrzymam certyfikat stwierdzający, że jestem obywatelem amerykańskim, oraz paszport mogą zmienić moje polskie nazwisko na jakieś amerykańskie. Na przysięgę czekało się wtedy kilka miesięcy, ale ja nie mogłem się zdecydować, czy zostać przy swoim nazwisku, czy wymyślać sobie coś amerykańskiego.

Sugerowali mi urzędnicy imigracyjni, a nawet zachęcali, bo będzie im łatwiej wymawiać moje nowe nazwisko, poza tym będzie o wiele mniej kłopotów w życiu codziennym. Sam wiele razy miałem ochotę zmieć Lizakowski na amerykańskie np. Lickman lub Litopon. Nowe życie w nowym kraju, dobrze byłoby rozpocząć z nowym nazwiskiem. Tak robiło przede mną miliony Polaków, miliony emigrantów ze wszystkich kątów świata. Długo o tym myślałem, ale żadne mi się nie podobało, ani też żadne oryginalne nie przychodziło mi do głowy. Z tłumaczem Richardem razem bardzo dużo tłumaczyliśmy mojej poezji na angielski, bo Richard sam, bez mnie nie tłumaczył zastanawialiśmy się, co by tu wybrać, aby nazwisko było i piękne i poetyckie. Sporo też wysyłałem wierszy do amerykańskich pism literackich i miałem wrażenie, że miałbym więcej publikacji, gdybym miał amerykańskie nazwisko. Po co komu taki poeta, którego nazwiska nawet nie można wymówić. Przy okazji zacząłem z ciekawości w miejskiej bibliotece doszukiwać się czy są jacyś Lizakowscy w Ameryce i okazało się że są, i to sporo ich. Najwięcej przybyło w drugiej połowie XIX wieku i to z Kaszub, a osiedlali się głównie w stanach bardzo zimnych Wisconsin, Minnesota, Dakota.

W październiku tegoż roku też odbyła się w śródmieściu w Berkeley w siedzibie YMCA promocja najnowszego numeru poetyckiego pisma *The Galley Sail Review*, w którym była zamieszczona moja twórczość poetycka. Prasa lokalna dużo o tym pisała, a w komunikatach prasowych obok nazwisk miejscowych poetów było zamieszczone także moje. Szczęśliwy zadzwoniłem do pana Czesława aby się pochwalić, że będę czytał swoje wiersze podczas promocji pisma z wieloma gwiazdami lokalnej sceny poetyckiej z San Francisco, Oakland, czy Berkeley m.in.: z James Alsup, Jack Mueller. Mary Rudge, H.D.

Moe, Robert Sward, Morton Felix, oraz beatnikiem Jackiem Muellerem. Pan Czesław już wiedział o tym spotkaniu, pogratulował mi, ale ja nie miałem odwagi zaprosić go na nie, chciałem tylko się przed nim pochwalić. Jakie było moje zdziwienie, gdy podczas mojego właśnie czytania wierszy w drzwiach YMCA pokazał się kosmita pan Czesław z przyszłą żoną Carol. Kosmita ubrany jak zawsze w marynarce, wełniane krawaty, wygolony, wyczyszczone buty, jasna wyprasowana koszula i spodnie. Popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi, jakoś chłodnie, ale się nie przestraszyłem jego wzroku.

Powstało poruszenie, gdybym nie czytał, to bym wstał, podszedł do niego i zaprosił, aby usiadł w pierwszym rzędzie, a tak pan Czesław usiadł sobie skromnie na końcu sali. Oczywiście poeci amerykańscy, beatnicy, albo w kręgach beatników tak samo byli zdziwieni jego obecnością jak ja sam. Oni byli ubrani w stare jeansy, przetarte na tyłkach i kolanach, w rozciągniętych swetrach lub w koszulach flanelowych wypuszczonych na spodnie. Z pierścieniami po kilka na każdej ręce, z indiańskimi wisiorami na szyjach. Polski poeta wszystkim im był znany z nazwiska, ale tylko niektórzy go widzieli na własne oczy, potrafili rozpoznać w tłumie. Miłosz był akademickim poetą, a oni byli poetami ulicznymi tzw. *street poets*. Nic ich nie łączyło ze światem Miłosza i odwrotnie. Oni czytali wiersze w pubach i kawiarniach, na skrzyżowaniu ulic i w parkach, a on na kampusie uniwersyteckim lub uznanych „biznesowych księgarniach”, które raczej nie miały na swoich półkach tomików wierszy poetów ulicznych. On sprzedawał w księgarniach swoje tomy wierszy po 20, 30 dolarów, a oni po 3 lub 5 dolarów w barach. Często oddawali swoje tomiki za filiżankę kawy, piwo lub lampkę wina.

Nie natrafiłem na obecność polskiego poety w życiu literacko-poetyckim u poetów ulicznych mieszkających nad Zatoką San Francisco, łącznie z będącymi u szczytu sławy poetów z *beat generation*. Co wcale nie oznacza, że o Miłoszu nie słyszeli, albo go nie znali. Jak już wyżej napisałem słyszeli i to bardzo dużo, ale jego poezja i to, co robił, była im zupełnie obca. Natomiast ku mojemu całkowitemu zdziwieniu na licznych spotkaniach poetyckich, w których uczestniczyłem, gdy powiedziałem, że jestem z Polski, poproszono mnie kilka razy o recytację wiersza Tadeusza Różewicza pt. *W Środku życia*. Znali tłumaczenie Miłosza tego wiersza na angielski, ale chcieli usłyszeć go polsku było to dla nich ważne. Hippisi-poeci w San Francisco nie znali twórczości Herberta czy Miłosza, ale uczyli się na pamięć wierszy Różewicza. Uwielbiali tę zwrotkę:

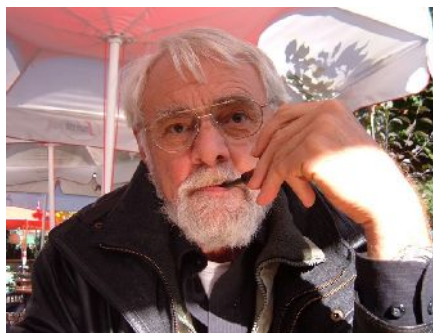
*siedziałem na progu domu
ta staruszka która*

*ciągnie na powrozie kozę
jest potrzebniejsza
i cenniejsza
niż siedem cudów świata
kto myśli i czuje
że ona jest niepotrzebna
ten jest ludobójca*

Wiersza tego nie znałem, ale w San Francisco Public Library było kilka półek z książkami polskimi. Było sporo Mrożka, polskiej klasyki i tomiki wierszy Różewicza. Piszę to dla tych osób, które z błyskiem w oku pytają się mnie o popularność Miłosza w Ameryce przed i po Nobla. Także dla tych, co w życiu nie kupili tomiku wierszy, nie byli na spotkaniu poetyckim, ale zadają takie i podobne pytania, myślą, że popularność poety w Ameryce, w świecie jest równa popularności gwiazd filmowych. Dostał Nobla, to musiał być znany – tak wciąż wielu myśli – sławny przede wszystkim zbił majątek na poezji, itp. Aby podeprzeć się mocnym argumentem zacytuję samego poetę, który tak pisze o sobie: *O tak, nie cały zginę, zostanie po mnie wzmianka w czterdziestym tomie encyklopedii w pobliżu setki Millerów i Mickey Mouse*. Jak widać poeta dobrze wiedział o małej roli poezji, zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i poezji w świecie współczesnym.

Ale wracajmy do spotkania poetyckiego, moja koleżanka Mary Rudge, która była moim przewodnikiem po scenie poetyckiej w S.F. Bay Area wtedy zaniemówiła. Po spotkaniu poszliśmy na piwo, tak jak to było w zwyczaju. W pubie po dwóch piwach Mary odzyskała głos, przy wszystkich obecnych oznajmiła, że poeta Czesław Miłosz Noblista przyszedł specjalnie na to spotkanie dla mnie, a dlaczego, bo moja twórczość bardzo mu się podoba. Pochwaliła mój amerykański akcent, mówiąc, że prawie wszystko zrozumiała co przeczytałem, a po chwili dodała, kto wie, czy nie słuchaliśmy wierszy następnego polskiego noblisty, wznosząc wysoko w górę rękę z butelką piwa, patrząc w moją stronę. I stało się, od tego czasu zostałem noblistą, nikt nie mówił mi po imieniu, tylko noblista. Pół biedy było, gdy przedstawiała mnie Amerykanom, ale gdy w towarzystwie byli Polacy na przykład w Cafe la Boheme, to był dla mnie koniec świata. Przypomniałem sobie tę historię przy szukaniu nazwiska amerykańskiego, nawet przez moment pomyślałem, czy nie nazwać się Adam Nobel. Skończyło się jednak na tym, że zostałem przy nazwisku swojego ojca i przodków, którzy na Kaszuby przybyli w połowie XVIII wieku z Holandii, (teraz wiem, że jest to udokumentowane w księgach parafialnych na Kaszubach) i głupio bym się czuł, gdybym po dwustu latach, wielu generacjach Lizakowskich zaparł się siebie.

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Goethe w Piwnicy Auerbacha (1)

W tym mieście przy ulicy Neumarkt, w zwałistym gmachu byłego Domu Handlowego „Madler-Passage” w części piwnicznej, znajduje się słynna winiarnia Auerbacha. Przypomina mi ona nieco Jamę Michalikową w Krakowie, która też obrosła legendą. Spędziłem w „Piwnicy Auerbacha” całe popołudnie, nie chcąc błąkać się po mieście. Lipsk nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia, szary, ponury i brudny. Jeszcze nie dotarł tu oddech Zachodu, było zresztą na to za wcześnie. Parę razy wstawałem od stolika, dzwoniąc z automatu do mieszkania Wolfganga, ale telefon nie odpowiadał. Delektując się wyborynym winem, przeglądałem stertę wierszy, za tłumaczenie których miał się zabrać Wolfgang. Winiarnia roiła się od gości, wszystkie stoliki były zajęte. Byli to przeważnie turyści zwabieni w to uroczce miejsce imionami niegdysiejszych bywalców tego przybytku Goethego i Fausta. Stara lektura, która wyleciała mi już z głowy, ale pamiętam jedną scenę, kiedy to Mefistofeles wiedzie uczzonego doktora właśnie w czeluście tej piwnicy, w gwar mocno wstawionego już towarzystwa, które przyjmuje obecność Mefista drwinami. Ułomność ludzka zawsze zbywana była drwiną i naigrywaniem. Chcąc przypodobać się gawiedzi, diabeł śpiewa pieśń o królu i pchle. Mefisto nie chce być gorszy, usiłuje olśnić prostaczków sztukami czarnoksiężskimi. Oto wierci w stole otwory, potem zatyka je lanym woskiem i każe rozrabianej publiczności wydłubać wosk. I wówczas zaczyna tryskać wino ku zaskoczeniu wszystkich. Ale to tylko jeszcze bardziej budzi w nich złość. Rzucają się w jego stronę z pięściami, a Mefisto rzuca na nich czar... Zaraz, jak to brzmiało... „Parszywy obraz, słowa zmyślane odmieniają umysł, przestrzeń i stronę – bądźcie tu i tam!”. Słowa zmyślane odmieniają umysł... Czy Mefisto mógł przewidzieć Hitlera?

Nie, to bzdura, chociaż... Sceny z „Fausta” zdobią ściany sal, zaś Mefistofeles i Faust, dwa posągi, jakby strzegły wejścia do sławnej

piwnicy. Turyści chętnie fotografują się w tym miejscu, obejmując ramionami zakłętę w kamień literackie postacie. Wspinają się też na wielką beczkę, na której lekarz-magik i cudotwórca, wyjeżdżał z czeluści piwnicznych na ulicę po skończonym występie. Wspaniała Goethe! Kiedy byliśmy z Brigitte i Manfredem w Krakowie, pokazaliśmy im Instytut im. Goethego w Rynku Głównym. „Das gefällt mir sehr!” – powiedział Manfred, kładąc mi rękę na ramieniu w serdecznym geście. Powiedziałem mu, że według legendy, doktor Faust studiował teologię właśnie w Akademii Krakowskiej, a do Lipska zawitał w 1525 roku, na co Manfred pokręcił głową. Jako fizyk i matematyk znał inną legendę, wedle której dr Jan Faust jako już teolog, dotarł do Lipska z racji odbywających się w tym mieście sławnych targów, a jeżeli miał już cokolwiek tu demonstrować, to właśnie lot na beczkę wzdłuż jednej z uliczek i był to zatem pierwszy w świecie wyczyn aeronautyczny. Mogło być i tak. W każdym razie w sto lat później – właściciel winiarni wziął to sobie do serca i wynajmując artystów-malarzy, kazał im wymalować, za sowitym wynagrodzeniem, na ścianach i sklepieniach sceny z dziejącymi się w piwnicach wydarzeniach i rzeczywiście artyści wywiązali się z tego zadania znakomicie. Sam Goethe przebywał w Lipsku w charakterze studenta w latach 1763-1768 i bywał niewątpliwie w sławnej winiarni Auerbacha. Oto tkwiąc przy szklanicy wina, patrzył na obrazy i jego wyobraźnia pracowała intensywnie, w czym pomaga poetom między innymi wino. I pewnie wówczas, w jeden taki wieczór jak ten, w jego głowie zrodził się zamysł napisania poematu.

I mnie szumiało porządnie w głowie po kilku lampkach wina i wszelkie usiłowania skupienia się na treści własnych wierszy, okazały się teraz daremne. Zawiązałem wstążkę w papierowej teście i oddałem się cały studiom nad malowidłami. Oto brodaty Faust kroczący dostojnie pośród tłumy ludzi. Jego akademicka toga zdaje się falować, a kłęby papierosowego dymu jakby uruchomiły pozostałe postacie, kłębiące się wokół mistrza. Przetarłem w wrażenia oczy, ale zjawisko ruchu, nie zastygło w miejscu. W tej chwili rozległ się jakiś szmer ludzkich głosów. Obcojęzyczny gwar panujący dotąd jakby zamarł, przestały błyskać flesze aparatów, aby w chwilę potem przejść w istną feerię błysków. Poprzez snujący się dym dostrzegłem zbliżającą się do mojego stolika postać... Goethego. Niech to diabli, pomyślałem. W tym młynie ludzkich twarzy z malowideł Molitora, Rentscha, Horsta-Schulze i Hansa Besta wszystko może się zdarzyć, chociaż pośród tej plejady postaci nie zauważyłem Goethego. Teraz stał przede mną, jakby żywcem wyjęty ze słynnego obrazu J.H.W. Tischbeina: Goethe in Italien, vor den Ruinen des alten Rom. Długa, powłóczasta szata, szerokie rondo wielkiego kapelusza. Jakby schwytywanie poety na gorącym uczynku bycia. Wkroczył w tę tłumną obecność winiarni, jakby nigdy nic i teraz wszystkie oczy skierowały się w naszą stronę, nadal błyskały flesze aparatów. Doskonałość tego ubioru, rysy twarzy, w których po chwili dopiero

rozpoznałem Wolfganga sprawiły, że po sercu rozlała mi się nagle wielka tkliwość, ale nie potrafiłem wyrazić mu swego uznania i aprobaty. To był dopiero numer!

– Aby poznać człowieka – trzeba go pokochać! To św. Augustyn... – powiedział Wolfgang, wyciągając w moją stronę przepastne ramiona. Oczywiście natychmiast mu wybaczyłem ponad dwugodzinne spóźnienie. Usiadł, zamaszystym gestem poprawiając fałdy sukmany i zaginając rondo kapelusza. Wokoło dzwoniły dzwoneczki podekscytowanych rozmów. Zrobił swoją osobą prawdziwą furorę i rozpierała go teraz energia. Natychmiast pojawił się kelner z dwoma butelkami wina. To na koszt szefa – powiedział, poklepując Wolfganga po ramieniu. Zawisła nad nami kopała słów jakbyśmy chcieli sobie natychmiast wszystko powiedzieć. Kłębiły się w tej naszej głośnej rozmowie strzępy jakichś znanych mu wierszy, jeszcze Goethego, a potem zanurzyliśmy się w moich wierszydłach. Wolfgang czytając głośno wiersze, mówił coś o słowach, które bywają często jakby źródłem nieporozumienia, choć są przecież środkiem porozumienia. „Może właśnie dlatego wiążujemy je w zamknięte układy wierszy, wiążujemy konopnym sznurkiem właśnie po to, aby nie miały siły siać zamętu i nieporozumienia”.

Wolfgang rzucił okiem na przyniesione przez kelnera flaszki z winem. Mrużąc oczy, doszukiwał się na etykietce roku produkcji, potem nagle wstał i wrzasnął na cały głos: Ich habe es gern, venn Besuch zu uns kommt! Ich möchte, daß sich die Gäste bei uns wohl fühlen!”. Bardzo lubię, kiedy przychodzą do nas goście! Chciałbym, żeby goście dobrze się u nas czuli! I tu nakazał utoczyć z beczki trunku i zabrać ze stolika flaszki, które były omszałe z długiego leżakowania.

– To wszystko fałsz, mistyfikacja, mój przyjacielu! – powiedział, spotkawszy mój zawiedziony wzrok. – Wszystko w tym kraju było mistyfikacją i długo jeszcze tak pozostanie. Pomyśl, minęło ponad dwieście lat od czasu, kiedy mój imiennik Goethe przestąpił progę tej winiarni i oni chcą to stłamsić, zgnoić. Wszystko tu utonęłoby, ugrzęzło w bagnisku, na którym wybłyskują po dziś dzień czerwone języki. Trzeba będzie je długo gasić, osuszyć teren, przekopać mózgi. To komunistyczne bagno chłonęło wszelkie wartości, aby je zemleć, unicestwić, zeżreć!

Cały czas krzyczał, a wokół nas kłębił się ten cały towarzyski młyn, turyści nadal fotografowali nasz stolik, niektórzy usiłowali się dosiąść ze swoją czarką wina, a Wolfgang odpychał ich swoim, kapeluszem, pod którym pieniała się przyczepiona peruka. Tęgo szumiało nam w głowach, ale to było lekarstwo na nasze rozkołatanie myśli. Wiersze odeszły gdzieś od nas i w przystępie jakiejś trzeźwej myśli pomyślałem sobie, że nigdy nie będą przetłumaczone przez Wolfganga i dobrze im tak. Za dużo miał zobowiązań wobec innych poetów, także z mojego kraju. Upił się na smutno, ja także. A smutek to nic innego, tylko trąd duszy. A ludzie uciekają od trędowatych.

Kazimierz Ivosse

Kozetka (45)



Wiosna. Strzały Amora

Flirt to akwarela miłości.

Paul Bourget

Joanna Friedrich

Czasem rozmowa z duszą artystyczną, o podobnym zabarwieniu estetycznym, co Twoje, obfituje w nowe przemyslenia.

– Nie mam w sobie aż tyle awangardy.
– Na nic nigdy nie jest za późno.
– Zapamiętam.
– A czego człowiek nie odważył założyć za życia, zawsze można sobie przygotować do trumny.

– Jakoś w ogóle, jak się zastanowię, to częściej w życiu wyobrażałam sobie pogrzeb niż ślub, większa swoboda dress codu.

Itd. itp.

Niekoniecznie pociąg seksualny zmusza nas do najbardziej wyrafinowanej gimnastyki, są jeszcze inne pociągi, np. estetyczny, które prowokują całkiem interesującą gimnastykę umysłową.

Za takimi relacjami jestem. W dzień, bo w nocy...

Dla jednych tafta to przesada, dla innych przesadą są już fałdy w tafcie. O fałdach w mózgu nie wspominając. Chociaż mózg budzi moją ciekawość już od wczesnego dzieciństwa.

Świetna, zaskakująca maszyna. O sercu nie wspomnę, z popularnej reklamy wiemy, co je różni.

Jeśli już jesteśmy przy reklamach, wzorce miłości, zakochania i rodziny zmieniają się. Wystarczy spojrzeć na kampanię reklamową Gucci, z parą prosiąt w dziecię-

cym wózku lub szeroko komentowaną, najnowszą kampanię Reserved.

Żyjemy w czasach Wielkiego Wyboru. Rodzina może być wszystkim. Model 2+2 homo sapiens to relikwiarz przeszłości.

Tym bardziej zaskakująca jest powracająca homogenizacja. Panowie narzekają, że panie upodabniają się do siebie tak bardzo, że nie sposób ich od siebie odróżnić.

Panie również mają problemy, aby odnaleźć „tego jedyne” w gąszczu podobnie przyciętych bród.

Chociaż brody wychodzą z mody. Będzie lepsza widoczność.

Widoczność nigdy nie wychodzi z mody. Przejrzystość jasnego widzenia sprzyja samcom i samicom alfa. Zapewnia pierwszeństwo wyboru. Refleks na tym poziomie piramidy Masłowa zawsze był w cenie.

Co nas czeka? To, na co się odważymy.

Odległość od dziecięcego łóżeczka do wiecznego łóżeczka – trumny, jak się głębiej zastanowić, jest zdecydowanie niewielka.

Nie tylko w naszym sercu i mózgu leży nasza przyszłość, najwięcej zależy od rąk. Co stworzymy, kogo przytulimy?



Jeśli chodzi o „gotowe recepty” znalazłam dwie godne uwagi:

1. Kto kocha, niechże zdrów będzie. Niech zdechnie, kto kochać nie umie. Po dwakroć niechaj zdechnie, ktokolwiek kochać zabrania.

Źródło: napis na murze w starożytnym Rzymie.

2. Miłość najłatwiej złowić w sieć radości. Autor: Ali ibn Abi Talib.

Na okoliczność uwodzenia i zmysłowości nie przychodzi mi do głowy nic lepszego, niż najnowsza kolekcja Ermanno Scervino: Pre-fall 2019.

W niej wszystko powinno się udać, Kupidyn jej nie przecoczy.

Powodzenia!

Radovan Brenkus

Wybory

Ani jeden z lekarzy nie zabiegał o zyczliwość dzięki wpływowym, znajomościom, nie prezentował się na billboardach, niczym towar godny najrozmaitszych superlatyw. W końcu żaden krezus nie finansował kampanii, aby jego oblubieniec, który z kolegami-aktorami w świetle reflektorów roztrząsa prywatne plotki, wygrał w ringu i zabezpieczył mu na przyszłość zamówień. Prawdziwi reżyserzy w czasach, kiedy określano ich jako niewidzialnych nieprzyjaciół, którzy wprowadzili nowy światowy porządek, a konspiracyjne bajki mnożyły się niczym grzyby po deszczu, mieli zbyt daleko od państwowej niemocy, drobne w państwowej kasie ich nie interesowały.

Kandydatów, dokładnie chirurgów, którzy mieli podjąć się poważnej operacji zaaprobowali spośród zgromadzonych.

– Demokracja ma swoje zasady, których trzeba dotrzymywać. Jeśli je zaniedbamy, społeczeństwo się rozpadnie – wyjaśniał przewodniczący komisji. Zakreślił wyłącznie jednego kandydata z pięciu, inaczej głos będzie nieważny. Podchodźcie pojedynczo do urny, abyśmy widzieli, czy nie wrzucacie więcej niż jedną kartę do głosowania.

Nie wiadomo jaką, a więc czyją demokrację miał na myśli, jednak obecni na sali utworzyli długi rząd i rozpoczęli głosowanie.

Komisja udała się do przyległego pomieszczenia i policzyła głosy. Dla skonkretyzowania trzeba dodać, że wyniki komisji kontrolnej zgadzały się z wynikami komisji wyborczej, także do manipulacji głosami nie doszło. W skrócie, uczciwie zdecydowała większość.

– Chcemy wam ogłosić, że wybory wygrał pan Criterium Favoris – uroczyście ogłosił przewodniczący komisji. Lekarz spontanicznie wstał i się uklonił, tłum zakłaskał. – Należy pomiędzy uznawanych światowych specjalistów i również moim skromnym zdaniem najbardziej nadaje się do przeprowadzenia operacji pacjentki, której grozi gangrena. Dziękujemy wszystkim uczestniczącym w głosowaniu stronom i wierzymy, że wybraliście odpowiednio.

Gdy pacjentka obudziła się na sali pooperacyjnej, przerażona zaczęła wrzeszczeć.

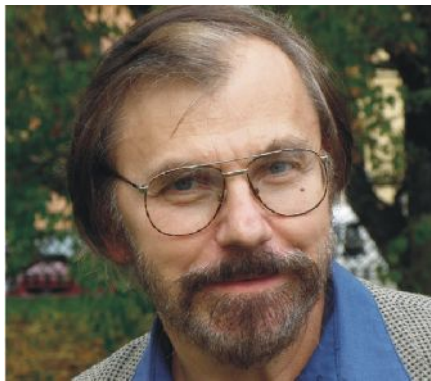
– Na Boga, co się stało? – przybiegła siostra.

– To nie lewa, ale prawa noga – zakwiliła.

Tłumaczenie: Marta Pelinko



Listy do Pani A. (129)



Ludu zmartwienie

Droga Pani!

Ostatnie tygodnie obfitowały w najrozmaitsze wydarzenia. Najciekawsze ze wszystkich było spotkanie z prof. Januszem Deglerem, który opowiadał o Tadeuszu Różewiczu i o Witkacym. Profesor, jak zwykle ze swadą i dowcipnie, mówił o swoich kontaktach z Różewiczem, o wspólnych spacerach do wrocławskiego Parku Południowego. Były to opowieści niezwykle ciekawe, w których poeta jawił się przede wszystkim jako człowiek. Takie było bowiem założenie tej prelekcji: przybliżenie żywej postaci, nie zaś „pomnikowej” sylwetki artysty, czy kolejne udowodnienie, że Różewicz „wielkim poetą był”.

Wspominał Janusz Degler pierwsze swoje spotkanie z wierszem Różewicza. Był to utwór „Ocalony”. Miało to miejsce jeszcze przed osobistym poznaniem poety. Profesor Degler poznał poetę w październiku 1969 roku na Festiwalu Teatrów Studenckich, i tak się zaczęła ich przyjaźń.

Różewicz mieszkał wówczas przy ulicy Januszowickiej 13. Była to cicha, spokojna uliczka. Jedyny hałas sprawiały tam śmieciarki przyjeżdżające na pobliskie wysypisko. Wtedy Różewicz razem z fotoreporterem Adamem Hawałem poszli na wysypisko. Poeta grzebał w śmieciach i pozował do zdjęć. W tym swoistym happeningu chodziło o to, by pokazać, iż rzeczy wartościowe można odnaleźć wśród odpadów. Potem te sceny wykorzystał poeta w dramacie „Stara kobieta wysiaduje”.

Regularnie spotykali się w Parku Południowym. Degler okrążał staw, wraz ze swoim psem, zgodnie ze wskazówkami zegara. A Różewicz w przeciwnym, co wywoływało konsternację i sprzeciw u psa.

Na stawie była wysepka. Poeta mówił, że chciałby tam zamieszkać, niczym na bezludnej wyspie. Nie lubił tłumów, zgiełku, bezmyślnej gawiedzi.

Tuż po wojnie Różewicz kupił sobie w warszawskim antykwaracie przy Wilczej „Nowe formy w malarstwie” Witkacego. Kiedy po latach przeprowadzał się we Wro-

clawiu z Januszowickiej na Biskupin ze zdziwieniem znalazł tę książkę, bo myślał, że jej nie ma. Było w niej dużo notatek poczynionych przez niego we wczesnych latach. Dużo podobnych anegdot przytaczał prof. Degler, przybliżając w ten sposób „prywatną” sylwetkę poety.

Na spotkaniu byli w przeważającej liczbie starsi, nobliwi ludzie. Młodych jak na lekarstwo. Widocznie wysoka literatura w pojęciu młodzieży jest dla wapniaków. Siedziałem jak zahipnotyzowany.

Potem, już w domu, przypomniałem sobie film z udziałem Wisławy Szymborskiej. Urzeka mnie jej oryginalne poczucie humoru, ironia, dowcip, a jednocześnie skromność i bezpretensjonalność wielkiej poetki, która nie musiała się maskować ani udawać kogoś innego. Miała po prostu klasę. Z przyjemnością jej słuchałem, obserwowałem reakcje na zupełnie codzienne sytuacje. Nie był to film o poetce, ale przede wszystkim o człowieku obdarzonym nietuzinkową wyobraźnią.

Szymborska lubiła szokować swoimi niekonwencjonalnymi zachowaniami, powiedzeniami, reakcjami. To jest mi bardzo bliskie, bo niekiedy zachowuję się podobnie. Niech Pani tylko nie myśli, że się porównuję i w ten sposób chcę się dowartościować. Jest mi tylko przyjemnie, że nie jestem odosobniony. Lubię niekiedy szokować i sprawdzać poczucie humoru u innych, choć w zasadzie nie powinienem się wiele po ludziach spodziewać. Kiedyś chciałem sprawdzić poziom inteligencji ekspedientki w sklepie ze słodyczkami. Zamiast o raczki poprosiłem o piętnaście deka nowotworków. Baba za nic nie mogła skumać, o co mi chodzi. Szkoda, że Pani nie widziała wzroku, jakim mnie obrzuciła.

W sklepie mięsnym zobaczyłem raz wieprzowe ogony. Zacząłem się dopytywać, czy są same dziurki. W zasadzie też bez zrozumienia. Obserwuję też reakcję kolejki. Stoją posępni, „straszni mieszczanie”. Naród złożony ze smutasów. Staliśmy w sklepie, Ania pomyliła się i powiedziała, zamiast wyjmij reklamówkę, wyjmij parówkę. Na to ja gromko: „tak przy ludziach?”

Tylko raz jeden sprzedawczyni się roześmiała. Widząc jak się niezdarnie pakuje, przypomniała: „niech pan nie zapomni jajek”. Na to ja z całą powagą: „o jajach nigdy nie zapominałem”.

Niekiedy same nazwy artykułów prowokują do skojarzeń. Kiedyś w sklepie z kosmetykami zauważyłem szampon „Stodkie cappuccino”. Nie mogłem się powstrzymać, by na cały głos nie powiedzieć do Ani: „kup mi preparat do mycia słodkiego kapucyna”. Ciekawe, czy Pani miałaby ochotę chodzić ze mną do sklepów?

Aby uciec od rzeczywistości posłuchałem sobie piosenek w wykonaniu Mieczysława Fogga. Zawsze mnie wzruszały, a sam wykonawca urzekał dystynkcją, elegancją, wielką kulturą osobistą, która wprost z niego emanowała. Był dla mnie kwintesencją prawdziwego warszawiaka, warszawskiej atmosfery. Tej dawnej, kiedy nie było jeszcze różnych mordorów, lemingów, krawacików, korpusiów, słoików; tej, którą zamieszkiwali normalni ludzie, a nie jakieś homunkulusy wy-

hodowane na modłę amerykańską. Ale może jestem wstecznikiem, świat się zmienia, więc pora go opuścić?

Opuszczam go poprzez lektury. Z wielkim zainteresowaniem czytałem biografię Wyspiańskiego napisaną przez Monikę Śliwińską. Wchodziłem tam w świat krakowski przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku; w ówczesne środowisko artystyczne, a także mieszczańskie oraz ich ówczesną obyczajowość. Świetna książka, dobrze udokumentowana, przedstawiająca fakty z życia Wyspiańskiego, jego dramaty twórcze i życiowe.

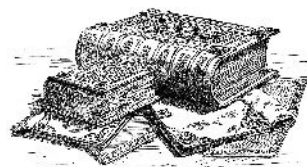
Zaraz potem przeniósłem się do epoki tuwimowskiej za sprawą książki Mariusza Urbanka „Tuwim. Wylękniony bluźnierca”. Mariusz Urbanek jest wybitnym biografem. Rzecz o Tuwimie jest pasjonująca. W końcu sama postać poety była niesłychanie barwna. Wielki poeta, autor znakomych tekstów kabaretowych, piosenek wykonywanych do dziś... Zawsze mnie interesowało dwudziestolecie międzywojenne, epoka skamandrytów, zresztą życie literackie tamtych czasów w szerokim pojęciu. Od książki Urbanka nie mogłem się oderwać. Jestem przekonany, że Pani podzieliłaby moje zdanie. Tym goręcej obie pozycje polecam.

Czytając książki Śliwińskiej i Urbanka utwierdzałem się w przekonaniu o istnieniu daleko idących analogii pomiędzy dawnym życiem artystycznym i dzisiejszym. Te same zawiści, podobne intrzygi, bezczelność grafomanów pchających się na pierwsze miejsca, wykorzystywanie innych, aby wjechać na ich plecach do panteonu... Jednak trzeba przyznać, że wtedy działo się to wszystko z większą klasą. Tamci pomimo wszystko byli artystycznymi „włamywaczami-dżentelmenami”, którzy różnili się od chmary dzisiejszych drobnych złodziejasków włączających na tak zwany rympał; różnili się przede wszystkim klasą. Ale trudno. Świata nie zmienimy, a tak zwana „ludzkość” coraz bardziej się degraduje. Może to i z drugiej strony dobrze? Jest przeciwko czemu protestować. A poza tym chyba nigdy nie było tak dobrze, ażeby wszystko było idealne. Człowiek to jednak straszne zwierzę, dla którego szkoda zabiegać o jakiekolwiek zbawienie.

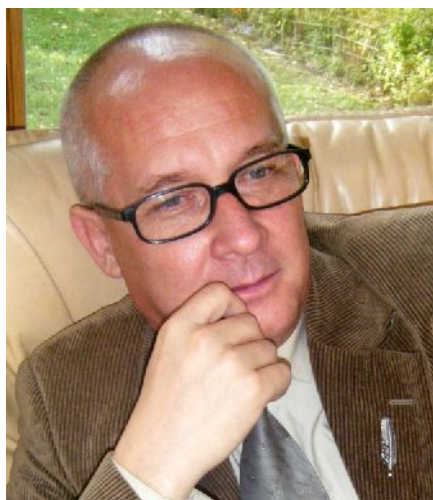
Ostatnio brałem udział w pewnej hucpiarskiej parodii promocyjnego spotkania literackiego. Szkoda o tym pisać. To było „ludu zmartwienie”. Taki przyszedł mi do głowy kalambur – szarada. Myślę, że Pani rozszyfruje, co to znaczy, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Mamy kwiecień, będzie prima aprilis, czas wesołości, potem radosnych Świąt. Trwajmy więc raczej w optymistycznych, wiosennych nadziejach, czego Pani serdecznie życzę –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Wiosennie, prawie letnio i optymistycznie

Na wiosnę życie budzi się na nowo. Niektórzy mówią, że chce się żyć. Na wiosnę mówimy sobie, że trzeba rozpoznać coś od początku. Tej wiosny jest nadspodziewanie dużo nadziei. Większość wierzy, że będzie ona przełomem – oby tak było.

Andrzej Dębkowski

Siła natury jest zadziwiająca. Czasami wydaje się, że znowu zabraknie czasu na dojrzewanie wiosennych posiewów, że słońce wypali resztki wilgoci z zeschniętej ziemi, a tu nagle deszcz przywraca nadzieję... Potem znowu słońce i kolejne deszcze, i... wszystko wraca do normy. Życie małowiatosteczkowe ma tę dobrą stronę, że wszystko widać jak na dłoni. Mieszkańcy z okolic, gdzie stoi mój stary, ale jakże kochany dom, w którym coraz bardziej chce mi się mieszkać, nawet ci najbardziej trzeźwi, rozsądni, umiarkowani, niepijący i niepalący dali się wciągnąć do dyskusji na temat przyszłości naszego kraju. Większość jest oczywiście za naszym trwaniem w Unii Europejskiej, ale jest to raczej efekt tego, co usłyszą lub przeczytają, niż samodzielnie dokonanego wyboru. Niemniej jednak już sam fakt podjęcia przez moich sąsiadów dyskusji na ten temat jest wydarzeniem wyjątkowym i, muszę to przyznać, napawającym optymizmem.

Pamiętam jeszcze rok temu, również próbowano dyskutować na ten temat, ale było to wszystko jakieś takie nudne, podsyżone strachem przed ośmieszeniem, bądź możliwością wytykania przez innych palca-

mi. Dzisiaj nie ma śladu po strachu. Myślę, że jest objaw zdroworozsądkowego podejścia do sprawy i dojrzałości ludzi, którzy doszli do wniosku, że w końcu trzeba wziąć swoje życie w swoje ręce oraz to, że nikt nic za nich nie zrobi. Oczywiście wiem, na kogo będą głosować, ale w Unii chcą podobno być.

Podobał mi się również sposób w jaki dyskutowano. Choć większość jest za tym, żeby podróżować po Europie bez paszportów, to jednak nikt nie przejawiał zbytniego hurraoptymizmu – każdy zdawał sobie sprawę, że Polska w Unii to raczej dobra sprawa dla Polski, ale były też i obawy.

Muszę przyznać, że to zachowanie przywróciło mi na moment wiarę w to, że może jeszcze nie jest aż tak źle z naszym społeczeństwem. Może to jednak efekt ogromnej samotności wielu ludzi, bezustannej gonitwy w celu zdobycia pieniędzy. Może w końcu zaczynamy dostrzegać, że w życiu liczą się również i inne wartości. Może potrzebujemy więcej spokoju i przewidywalności. A to może nam zagwarantować bycie w rodzinie państw europejskich.



Rys. Barbara Medajska

Myślę, że powoli dojrzewamy do tego, abyśmy stawali się społeczeństwem rozumnym – z jednej strony oczekującym od swoich elit przykładnego postępowania, a z drugiej – eliminującym te wszystkie patologie, zagrażające naszemu krajowi. Ludzie zaczynają dostrzegać wagę i siłę kartki do głosowania, wierzą, że od nich samych zależy bardzo wiele. Przykładem jest rozmowa z jednym z sąsiadów, który „dorwał” mnie na ulicy i pyta:

– Panie Andrzeju, pan tak ciągle jeździ po świecie, czyta i pisze te mądre książki, to jak to ma być. Opłaca nam się to bycie w Europie?

Ja mu na to odpowiadam, że do końca nigdy nic nie wiadomo, ale czy wolałby, żeby było tak, jak w czasach sprzed 1989 roku – kłopoty z wyjazdami za granicę, puste sklepy, brak perspektyw dla jego dzieci i wnuków, w końcu czy chciałby żyć w kraju takim, jak Białoruś.

– Ano, nie bardzo. Tam to dopiero musi być straszna bieda... – odpowiedział z trwogą

w głosie.

– No właśnie – dopowiedziałem.

Następnego dnia spotykają mnie dwaj inni sąsiedzi, już po konsultacjach w tym rozmawiającym ze mną dzień wcześniej.

– Panie Andrzeju, pan to tak mądrze tłumaczył wczoraj Gienkowi, niech nam pan też opowie o tej Europie – jak tam jest? A na tej Ukrainie, Białorusi, na Litwie to naprawdę jest gorzej niż u nas, w Polsce?

– No, widzicie, jest źle, ale najgorsze jest to, że na takiej Białorusi czy Ukrainie nie zanoszą się na razie, że będzie lepiej. Na Litwie jest już poprawa, ale te setki tysięcy hektarów ziemi leżącej odłogiem... To robi wrzenie...

Sąsiedzi zamyśliли się, pokiwali głowami, pokleпали mnie po ramieniu i poszli w swoją stronę...

Nazajutrz, w sklepie z pieczywem, o krok od mojego domu, mówiło się tylko o Unii Europejskiej. Dominowały argumenty, że my w tej Europie to musimy być i nawet ci, którzy nie byli dotąd zdecydowani, stali się gorącymi orędownikami naszej dalszej integracji z państwami Zachodu. Przestrzegano niezdecydowanych, zachęcano przeciwników.

Wracam więc do domu, w torbie niosę gorący jeszcze i pachnący chleb. W uszach słyszę, te wszystkie rozmowy, może trochę nieudolne i bardzo rozentuzjasmowane, ale niezwykle szczere. Słońce pięknie przygrzewa, ludzie spokojnie podążają do swoich obowiązków, a ja myślę, że siła literatury jest ogromna. Przecież dzięki niej zdołałem przekonać i rozbudzić w tych ludziach potrzebę dyskusji, potrzebę rozmowy. Przecież bez niej nie moglibyśmy się dogadać, a idąc rano do sklepu, nie zapytalibyśmy:

– Co tam dobrego, sąsiedzkie?

I tym momencie obudziłem się!...



Rys. Barbara Medajska

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (36)

(fragmenty)



Właściwie jest bardziej tragikiem niż satyrykiem. Gdy opowiada o sobie, wręcz opuszcza go wielkoduszny humor. Może dlatego, że jako pisarz i rysownik wyczulony na śmieszności i słabostki innych – staje się do przesady ostrożny modelując własne zachowanie, żeby przypadkiem samemu nie okazać się w oczach innych komicznym, co w efekcie kępuje i paraliżuje jego spontaniczność.

Mroźek maszerujący ulicami Krakowa to wręcz chodząca (na szcudłach) powaga, zero spontaniczności, każdy krok, gest, ruch ciała wstudiowany do przesady.

Potrafi zaskoczyć, gdy pisze o sobie: „Całe moje życie utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem gnojkiem”. To już wielki Mroźek, bo kogóż przeciętnego stać na taką samokrytykę!?

Pamiętam, że gdy po raz pierwszy po wymianie wielu listów spotkaliśmy się w Paryżu w 1977 (była to moja pierwsza podróż na Zachód), zastanowiła mnie jego ironiczna reakcja, gdy powiedziałem mu o kimś, że jako przyjaciółka mojej przyjaciółki powinna mi pomóc w załatwieniu czegoś (nie pamiętam już czego).

„Przyjaciółka twojej przyjaciółki... więc powinna ci pomóc?”. Nie, to nie mieściło mu się w głowie, jakby nie rozumiał tego, co w moim przekonaniu było oczywiste i elementarne...

W sferze uczuć wydawał się zawsze z innej planety. W ogóle – najtrudniejszy rozmówca świata, co mogłem stwierdzić na własnej skórze, gdy po wymianie długich listów spotkaliśmy się na paryskim, a w parę lat później na krakowskim rynku.

Niesłychanie surowy wobec własnej osoby, własnego pisarstwa – co zaświadcza każdą stronką dziennika, jest też wymagający wobec najbliższego otoczenia, dlatego bardzo ostrożnie i z trudem dobiera sobie przyjaciół (chodzi o mężczyzn, bo kobiety fascynują go swoją odmiennością, o czym dyskretnie tu i tam sygnalizuje).

Temat kobiet unikany raczej przez Mroźka (wyjątek – paręnaście znakomitych stron

poświęconych śmierci pierwszej żony Marii Obremby) zasługują na osobne omówienie właśnie dlatego, że tak skąpo dozwolony.

W 1978 pisał mi w liście: „Wyjść z siebie, spojrzeć na siebie z zewnątrz (piszesz o tej potrzebie). No tak. Ale przypominam ci Twój wiersz o sobie, swoim najlepszym przyjacieli. Wyjść, owszem, ale tylko pod warunkiem, żeby zachować podwójność widzenia. Wyjść, ale jednocześnie siedzieć w środku. Porównać to, co się czuje w środku, z tym, co się widziało na zewnątrz. Zjeść jajecznicę, ale nie rozbić jajka. Bo opuścić siebie naprawdę, to przecież nic innego, jak własna śmierć.

Poza tym: z zewnątrz widać każdego z nas jako zamkniętą, obrysowaną całość. Czy to widzenie prawdziwe? Podczas gdy my odczuwamy siebie, od środka, jako coś bez wyraźnych granic i konturów. Czy to widzenie prawdziwe?

Może ta tęsknota, żeby wyjść z siebie i zobaczyć siebie, z zewnątrz, a jednocześnie nie tracić siebie w środku siebie, to tęsknota za jedynym pełnym, prawdziwym widzeniem”.

Gdy czyta się dziennik Mroźka, odczuwa się ten dylemat, bliski zresztą innym autorom dzienników, także mnie, jaką chytrą sztukę zastosować, żeby „zjeść jajecznicę, ale nie rozbić jajka”, czyli opisać siebie od wewnątrz – ale z zewnątrz, obiektywnie; wyjść z siebie i obserwować z wysoka, z daleka, a jednocześnie pozostawać cały czas w środku.

„Dziennik” Mroźka jest więc również przykładem tej swoistej schizofrenii pisarskiej. Autor zaserwował nam jajecznicę z „jaizmu” przyrządzoną według specyficznie własnej literackiej receptury. Jednych czytelników może rozczarował, że za mało osobisty, a za bardzo uniwersalny, czyli opisujący siebie z zewnątrz, z wysoka. Innych może zachwycił ową umiejętnością uogólniania i uniwersalizowania wszystkiego, co napotykał w latach 1962–1969. Po czym, jak to on – statecznym krokiem, lekko przygarbiony i jednak wciąż pocelwony nierozbitą twardą tajemniczą skorupą – udał się po paru dniach na lotnisko w Balicach, by odlecieć na powrót do Nicei...

Tomek Sobieraj, rak i Tiziano Terzani

Poznałem, na razie elektronicznie, Tomka Sobieraja (lat 46), zdolnego krytyka, interesującego pisarza z Łodzi, który udał się parę miesięcy temu na kolonoskopię, po czym dowiedział się, że ma raka jelita. Ponieważ przechodziłem to samo osiem lat temu, moje wiersze i zapiski dziennikowe były dla niego liną ratunkową – zanim sam sobie nie upłócił własnej, więc zaprzyjaźniliśmy się.

Teraz Tomek przechodzi chemioterapię, mocniejszą niż ja, ale imponuje mi walecznością i wiarą w ostateczny sukces. Ba, to teraz on podtrzymuje mnie na duchu, gdy od ponad miesiąca dokucza mi żołądek i tak zwany zespół jelita drażliwego, co nie tylko jest męczące, ale wpędza mnie w panikę, że to znowu nawrót tamtego. W chwilach pogrążającej mnie i świat za oknem szarżyny jesiennej czytam książki niespożytego Tiziano Terzaniego, wybitnego włoskiego reportażysty

którego przez wiele lat ciekawość gnała przez wszystkie kontynenty, a w ostatnim okresie zachorował na raka, przeszedł wszystkie stopnie wtajemniczenia w tę chorobę, leczył się tradycyjnymi i alternatywnymi metodami (w Ameryce, Indiach, Tajlandii), po czym złożył literackie sprawozdanie z tego traumatycznego i tragicznego doświadczenia (bo jednak po siedmiu latach zmarł) w dwu opasłych, liczących po 700 stron księgach: „Koniec jest moim początkiem” (Zysk i S-ka) i „Nic nie zdarza się przypadkiem” (Świat Książki). Przykład niezwykłego hartu ducha, żeby wisieć na szubienicy i opisywać to.

Nie było na to stać na przykład filozofa księdza Józefa Tischnera. Chyba, że uważał, iż śmierć to nic wielkiego w obliczu chrześcijańskiej wizji nieśmiertelności, więc nie warto jej poświęcać za wiele uwagi.

Terzani, którego bardzo cenił nasz Kapuściński, to jeden z najmądrzejszych facetów, z jakimi zetknąłem się poprzez druk. Pisze prosto, jasno o skomplikowanych sprawach, ma ogromną reporterską wiedzę o ludziach i świecie, własną wizję świata. W odróżnieniu od większości europejskich myślicieli zanurzonych po głowę w kulturze i myśli europejskiej – poznał filozofię, wierzenia i życie praktyczne Dalekiego Wschodu i potrafi skonfrontować różne światy, różne postawy i poglądy. Ma krytyczny stosunek do współczesnej cywilizacji, co udaje mu się nieraz cennie wyrazić: Wschód i Zachód. Kiedyś bardziej niż o różnej tożsamości geograficznej – można było mówić o dwu różnych wizjach świata. Pierwsza opierała się na eksploracji świata wewnętrznego, z niewielką albo żadną dbałością o zewnętrzny, druga w całości nastawiła się na dominację świata na zewnątrz, całkowicie ignorując ten w środku. Od końca XIX wieku nadzieją wielu ludzi Zachodu była możliwość uzupełniania jednej wizji drugą, ocalając obie z nich i pozwalając tym samym całej rasie ludzkiej na poważny skok jakościowy. Żłudna nadzieja. Materialna siła wizji zachodniej pokonała wizję wschodnią i Azja, której zawdzięczamy bogów i idee, straciła spokój, goniąc za takim samym typem szczęścia, które nas już unieszczęśliwiło”.

Od siebie mogę dodać, że widziałem taką Azję całkowicie zmaterializowaną w Singapurze, gdzie ma się wrażenie, że człowiek znalazł się w środku społeczeństwa termitów-robotów prawie całkowicie wyzbytych wyższych potrzeb duchowych czy kulturalnych.

Terzani wie, że probierzem postępu cywilizacyjnego powinno być szczęście ludzi. Tymczasem są oni mniej szczęśliwi nawet od pierwotnych ludów: „choroba, na którą cierpi teraz duża część ludzkości, jest nieuchwytna, nieokreślona. Wszyscy czują się mniej lub bardziej wykorzystywani, smutni, przynębieńni, ale nie mają obiektu, na którym mogliby wyładować złość albo ku któremu zwrócić nadzieję (...). Gdzie znajduje się ośrodek władzy, który zuboża życie? (...) Być może ośrodek ten znajduje się w nas samych i tylko wielka wewnętrzna rewolucja może zmienić ten stan rzeczy, zważywszy, że wszystkie rewolucje zewnętrzne zdziały niewiele”.

cdn.

Poezja publicystyczna

Termin *imponderabilia* należy rozumieć jako rzeczy nieuchwytny, nie dające się zauważać bezpośrednio, zmierzyć, dokładnie określić, mogące mieć jednak znaczenie i np. wpływać na losy ludzkiej egzystencji. Taki też tytuł nosi tom wierszy wydany przez **Magdalenę Węgrzynowicz-Plichtę** na początku 2018 roku, składający się z trzech części: „imponderabilia”, „spod prasy” i „(nie)cierpliwe naręcza rumianków”. Całość zamyka postowie napisane również przez autorkę – *internetowe silva rerum*, w którym zostają ukazane mechanizmy psychologiczne oraz technologiczne powstawania tej książki. Przypomina ona poniekąd swą formą tradycyjny pamiętnik, choć jest to sprawa wtórna, gdyż poetka wykorzystwała przy jego tworzeniu dobrodziejstwa wynikające z użytkowania Internetu przez artystę, który m.in. automatycznie datuje zapis oraz publikacje danego utworu, ale i otwiera możliwość interaktywnego wpływu innych użytkowników sieci na ich zawartość, jak również same konteksty publikacji mogą wpływać na siebie pod względem znaczenia też zawartości.

Inną ważną kwestią, pojawiającą się już wcześniej w publikacjach Węgrzynowicz – Plichty jest tragiczna w skutkach śmierć jej osiemnastoletniego syna – Tadeusza¹, która została głęboką skazą na psychice poetki-matki, a która to może być jednym z tych imponderabiliów nieuchwytnym dla postronnego czytelnika, istotnie wpływającym na kierunek dyskursu literackiego jej wierszy. W utworze pt „skaza”, który otwiera ten tom, dowiadujemy się, że: (...) *z każdym nierozważnym krokiem / ciszej w żyłach szumi krew // napiętnowani stratą w mądrości / szukamy przebłysku przetrwania* (...).

Skaza ta może bowiem stanowić źródło erupcji utworów, w których autorka wykrzykuje swój ból związany z utratą syna, ale i prowokować inny kierunek dyskursu słownego, maskujący ten głęboko skrywany ból, za którym idą różne sposoby życia doczesnego, budujące nadzieję jakiegoś możliwego spotkania z nim w wieczności. W kulturze literackiej od zarania dziejów ludzkości obowiązuje przecież stara zasada, że jeśli czyjeś imię się przywołuje, to ono powoduje, że ów zmarły obiekt dalej żyje. Świadczą o tym przekonaniu ludzi np. hymny wykonywane na cześć bóstw, bohaterów czy kartusze egipskich faraonów.

Nie ma wątpliwości, że poetka podziela punkt widzenia Andrzeja Bursy, który uważała, że *Poezja nie może być oderwana od życia*, którym to mottem rozpoczyna autorka mini-poemat pt. „od życia oderwani”, w którym opisuje kobietę współczesną, która pod wpływem mediów oraz reklamy traci tradycyjną funkcję „bogini ogniska domowego”. Węgrzynowicz-Plichta tako oto ją przestrzega w tym mini-poemacie: (...) *przeminięły w wolnych chwilach / współżyją z konkubentem // sic! z kopulantem dźwigając / bez*

skrępowania na swych // wyrzeźbionych przez siłownię / barków ubóstwiony grzech / / cudzołóstwa; moda na szok / wpędza ich do jadawitej klatki // iluzji wyzerającej resztki / sflaczałych szarych komórek; // technologiczna bestia / przez sen podpowiada: // wypierając się zbrodni / unikniesz kary // (...) / co na obronę mają / dzisiejsze gospodynie domowe // że na wyścigi hurtowo / w sitkcomach się pławią // urok poezji wybił im z głowy / klucz do matury nowej // a szcerstwiaty polonista / stepił wrażliwość serca.

Taka jest więc diagnoza współczesności w tym dyskursie poetki, a w niej upatruje ona kolejne imponderabilia tego, co dzieje się z ludźmi w świecie nas otaczającym.

Część pierwsza – „imponderabilia” – zawiera opis tych doświadczeń autorki, które dla niej właśnie takim rzeczami nie do końca określonymi są, a często dotyczą rozciągniętej w czasie tragedii syna. Wspominając jego 25. urodziny dowiadujemy się od poetki-matki, że (...) *jak inne niebiańskie dzieci / chociaż już jesteś pełnoletni / z misją przemierzasz wszechświat // gdy ja tu pośród śmiertelnych / w smutku niosę wdzięczności dar // próbuję miłosierdzie Boże rozpoznać / i bezbronna też się uśmiecham.*

Pozostając „poza nawisem” i pod ciśnieniem „(po)strachu” i „(nie)odbytej medytacji”, czując jednak, iż odradza się w niej pomimo wszystko i z niepewnością Bergsonowska *élane vital*.

W tej drugiej części tomu – „spod prasy” poetka m.in. odślania obecnie obowiązującą „nową” zasadę życia, pisząc: (...) *człowiek mocny nie musi być / silny tylko sprytny // nie musi być mądry tylko / rozgarnięty // resztę załatw instynkt głodu życia.*

Również patrzenie ludziom „prosto w oczy” we współczesnych krajach może być podejrzane, bo to przecież jakby „przysięga złożona na wieczność”, lepiej „szczyrzyć” intencyjnie zęby, niż „głupio śmiać się bez przerwy” – konstatuje autorka. Równie odważnie i racjonalnie ironizuje na temat sondazy aborcyjnych, w których ich autorzy nie umieją rozróżnić zarodka, płodu od rzeczywistego, ludzkiego życia. Docenia powstanie druku (prasy Gutenberga), dzięki której nasza pamięć może tak funkcjonować przez wieki, choć z drugiej strony dodaje: *mieć dobrą prasę z cudem graniczy / świat na skandalach tylko się opiera // że nawet Syzyf nie mógłby spokojnie / pod górę taszczyć swojego kamienia // co rusz o jakiś romans posądzony / jak prasa weszły nawet wiatr ustaje.*

Równie interesująco została ukazana w wierszu – „Informatorka” chytryść na news Marata i kara za nią z ręki Charlotte Corday, która go zadzgała w wannie. Autorka piętnuje dalej kłamliwość prasy, ferowanie bezpodstawnych ocen i wyroków, przybierających na fali w czasie tzw. „sezonu ogórkowego”, na które trudno doczekać się sprostowań. Jako kobieta z detaliczną uwagą analizuje toalety, ubiory i makijaże kobiece. Nasłuchując nocnych rzęgotów sroki myśli o upadku tożsamości użytkowników sieci i przypomina, że utrata pamięci historii własnego narodu skazuje każdego na banicję. Zagłębia się również w kosmiczne uniwersum, by stwier-

dzić, że do jego poznania są konieczne nie tylko słońce i światło, ale również ludzkie emocje, pozwalające zobaczyć „horyzonty możliwych zdarzeń” i tańce *élane vital*. Przy tym pochwała obcowanie z „martwą naturą” jako alternatywą świata przesiąkniętego wariabilizmem, przyspieszającym narastanie w nim chaosu. Poetkę koi sen, cisza, pokorna postawa ludzi, ale i przypomina, że życie to teatr, który zawsze się musi skończyć, o czym sygnalizuje wygląd i losy naszych butów, a nawet ich kolekcji.

„(nie)cierpliwe naręcza rumianków” – to tytuł 3. części tego zbioru utworów poetyckich, w której początek nowego roku prowadzi do wielu remanentów w życiu, ale świadomość przemijania, która z kolei budzi wiele wątpliwości i niepewności co do przyszłości. Kolejne utwory zostają przez autorkę jakby zanurzone w zwalczających się żywiołach natury owocując bukietami zapachów, kolorów, przemijających fasad kwiecień i listowia. Wraca tu również pamięć, by przypomnieć jak to onegdaj bywało. Wartości nabiera spacer z przyjaciółmi w dzień imienin, o którym poetka pisze, że (...) *nie ma lepszego prezentu nad spacer / w gronie przyjaciół z kwiatowym akcentem* i dodaje w innym wierszu takie oto pytanie: (...) *jak można być stałym / w uczuciach gdy pory roku // zniewalając / swoim nieodpartym urokiem // raz kaszka by soczysta wiosenną / zieleń wielbić ponad stan // innym razem każą/zachwycać się złotem // jesieni.*

Te doświadczenia na łonie przyrody i związane z wypełnionym tłumem miastem, podpowiadają jej, by „pokonać biegiem życie, uciekając światu”, ale i trzpiotowi-wiatrowi, który raz gwizdże, włosy kołtuni, ubrania tarmosi, a innym razem zawodzi „rozmodlonym głosem”: „a spróbuj go załapać – dodaje – prawdziwy hulaka”. W takim świecie, np. na wsi „wibruje cisza”, „zieleń łaskocze niepokojne serce, „pękami wzbiera nadzieja”. W takim świecie pojawia się wiele „dzi(wacz)ków, np. kolorowe ptaki na odpuszcie, które nie znoszą i nie wysiadują jaj, ale z przekąsem poetka dodaje: (...) *dobrze i niech tak zostanie / skoro Bogu nie udał się świat* (...).

W pewnym momencie postrzega, chyba syna, który zrywa rumianki, śpiewa, w słońcu z każdym krokiem pięknieje, natomiast ona się już niczemu nie dziwi, bo to przecież znów pojawiają się te imponderabilia.

Nasz świat, i na tym polega obecnie jego sekret, staje się błyskotliwy i szybki dzięki internetowej percepcji, i wszystko dzieje się jakby „tu” i „teraz” w pełnej doskonałości formy oraz materii, a my dobudowujemy jeszcze do niego ścieżki naszych wspomnień z przeszłości, które multiplikują w nieskończoność sposoby jego postrzegania i obcowania z nim. I wtedy poetka odkrywa, że (...) *na fujarcie rzewnie gram / odkryciem zdziwiona // że motyli / trzepot skrzydeł // śpiewem.*

Sięgając do tradycji krytyki literackiej, która po stanie się dyscypliną akademicką, w praktyce umarła i nie kształtuje już gustów publiczności, a więc nie jest publicystyczna, sadzę, że twórczość Węgrzynowicz-Plichty

(Dokończenie na stronie 18)

Poezja publicystyczna

(Dokończenie ze strony 17)

stanowi jakby jej odrodzenie (na)nowo, ale w jeszcze lepszej formie jakim jest jej dyskurs poetycki, społecznie i aksjologicznie zaangażowany w naszą codzienną powszechność.

prof. Ignacy S. Fiut

¹ Tadeusz Plichta urodził się 3 lutego w 1991 roku, zmarł 23 września 2009 roku w szpitalu krakowskim, po sześciu tygodniach intensywnego leczenia, na skutek powikłań po odniesionych obrażeniach, gdyż spadł z wysokości trzeciego piętra na terenie Fortu Łąpinka, kiedy brał udział w grach zespołowych ASG.

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, „imponderabilia”. Posłowie: M. Węgrzynowicz-Plichta (internetowe *silva rerum*). Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018, s. 120.

Mowa świata

Irena Słomińska, jedna z plejady twórców w silnym „zagłębiu” poetyckim Białegostoku i całego Podlasia, to świetna poetka, autorka m.in. 9 tomików wierszy. Jej najnowszy zbiorek, wydany w 2018 roku, nosi tytuł *Tożsamość*.

Zanim jednak odnotuję tu swe refleksje z jego lektury – nieco wrażeń wizualnych. Tomik jest pięknie wydany, a zdjęcia Kazimierza Słomińskiego (mąż poetki, znany fraszkopis i aforysta) są nie tylko dobre, ale też adekwatne do aury tej poezji. Gratuluję, Kaziku!

Przy innej okazji, gdym się poważał wypowiadać o wcześniejszych zbiorach poetki, podkreślałem, że jej utwory nie są łatwe w odbiorze. Nowy tomik potwierdza te tezę. Bo też autorka podejmuje się czegoś bardzo trudnego, o czym autor posłowania trafnie pisze, że to zadanie tyleż oczekiwane, co z gruntu niemożliwe. A to zamiar pełnego ukazania swej tożsamości osobowej i twórczej w jednym. I to przez poezję, co tym trudniejsze.

Czy jednak nieosiągalne? Ba, takie są ideały, wzorce absolutne. Tymczasem poetka jest człowiekiem. I choć w masie ludzkiej wyróżnia się talentem, to staranie się przez swą twórczość o „bycie osobnym” (Felix Rajczak) nie zdejmuje z niej ani nie umniejsza ludzkich ograniczeń. Zatem, czy porywa się z motyką na słońce? I tak, i nie. Tak, ale owa „motyka” jest nieprzeciętna: to posiadany w sobie dar „iskry bożej” – świat od lat budowany z materii słów, umiejętność operowania nimi tak, aby wyrażały siebie poetycko. To także inny, skorelowany z poprzednim dar: słuch na słowo, na muzykę polszczyzny. A to już jest dar ducha, którego

wpływ umożliwia w praktyce, czyli w kształcie wierszy, zmaterializowanie duchowej przestrzeni na postać poetyckiego zapisu.

A dlaczego – nie? Bo przecież nie porywa się na dosłowne słońce. Samo to przysłowie jest hiperbolą, większą chyba niż zmaganie Syzyfa. Poetka zaś nie mierzy w cel utopijny, nie chce – jak Wieszc – cierpieć za miliony, tzn. szukać tożsamości człowieka jako takiego. Pragnie – i to jest mądry wybór – znaleźć i określić swoją tożsamość jako istoty ludzkiej i jako twórcy. To jej prawo wyboru i zadana sobie powinność wobec własnej sztuki – poezji. Wyznaje: „to moja poezja do której próbuję dorosnąć”. Czuje, że wciąż tę poezję niesie Pegaz, tu jako „koń / biały skrzydlaty”, którego „wyprowadzam ze swojej chwicznej równowagi”.

Zatem to jeszcze nie spełnienie – niezbędne dla tożsamości, dla jej odczuwalnego i widzialnego, wręcz namacalnego kształtu: siebie i swego dzieła, nawet monolitu zrośniętego z obu tych elementów. Nie ma pełni – nie ma całkowitej tożsamości, skoro jej podstawowe czynniki są niejako rozdzielone, jeśli JA i moja POEZJA wciąż nie są jedną. Zaiste: zadanie niebotyczne.

Jednakże (jeśli już trzymać się przysłów) wiadomo, że „nie święci garnki lepią”. Autentyczny pisarz, w tym przypadku autorka znana miłośnikom poezji, jest nie tylko pewna swego potencjału twórczego – nie rezygnuje też z marzeń. Zgranie ze sobą talentu, pracy i marzeń to w efekcie znakomitość dzieła. Nie „produktu” – jak to czasem ujmują różni oceniacy. Wykonania produktu można się nauczyć, napisania dobrego wiersza nie, ponieważ dla wiersza trzeba mieć w sobie nieopartwarzalne, właśnie osobne, światło ładu: „ten ład dzieje się niejako poza mną / choć mnie dotyczy” (*Światło*). Swoisty dualizm? Być może, bo jeszcze nie ma ostatecznego stopu osoby z poezją w kosmosie tej pierwszej – tak, by stanowiły jednolity, tożsamy byt.

Alte przecież jest również nadzieja:

*...uczę się nadziei
że światło
lampka oliwna zmierzchu przeprowadzi mnie
przez fale morza które znów się rozstąpi
przedemną*

Niech nie dziwi słówko „znów”: nie byłoby tych wierszy, gdyby ów motyw biblijny (morze się rozstąpi) nie miał miejsca wcześniej. To się dokonuje bodaj w każdym akcie twórczym. Wielcy klasycy także wyrażali tę nadzieję, choć mieli świadomość wartości swych dzieł – że przypomnę choćby znaną myśl Horacego o pomniku jego poezji trwalszym od spiżu. Niedouk czy zawistnik odczyta takie wyznanie jako autorską zarozumiałość (spotkałem takich), ale to jest nadzieja wynikła nie tylko z autooceny, lecz równocześnie z pokory wobec sztuki, wobec potęgi słowa. Tyle że prostacki czytelnik nie jest poetą, co najwyżej grafomanem...

Ech, o czym ja tu dywaguję? Od takich ocen poezja p. Ireny stoi w niepoliczalnej od nich odległości! Przechwalam? Skądże, notuję tylko niektóre refleksje z lektury, bo żeby je uszczegółowić, trzeba by napisać obszerną dysertację. A poetka w tym nie tyle poszukiwaniu, co dopełnieniu kształtu tożsamo-

ści niekiedy zaskakuje czymś, co teoretycy literatury nazywają tropami lub też swoistym kryterium wiersza, jego wartości, polegającym na tym, że „słowo dziwi się słowu”. Przykład z wiersza *Kwitnienie*:

*to przywilej starości
poznawać
tajemnice trawników
kiedy nogi
nie pozwalają już dojść za daleko*

Albo z wiersza *Eros*:

*od strzały Erosa – myślę
zaczyna się nasze
zbawienie*

Już słyszę tu oburzenie fanatyków i jeszcze większe po cytacie z *Ikony*:

Matka Boska – odkrywam ją w sobie

choć w tej samej strofie autorka jakby się reflektuje:

*i czy to aby nie bluźnierstwo
przeżywać wraz z nią*

No cóż, w czasach mego dorastania tego typu oburzenie lub zarzut obrazoburstwa kwitowało się wzruszeniem ramion alba znanym rymem: „Modli się pod figurą, a nosi diabła za skórą”. Wystarczy bowiem wyczuć się w oba te wiersze, by zamiast głupio się oburzać – w pierwszym z nich zobaczyć zacytowaną prawdę, a przy okazji dostrzec piękną metaforę: „fiołki / pocałunki słońca”, zaś w drugim doczytać się dramatów ludzkiego życia i zadumać nad kwintesencją tego utworu:

*pomyśl jak mocno splatamy w sobie
tę promiennność
ikony*

Płytcy oburzalscy – jak byście reagowali, czytając poezję ks. Jana Twardowskiego?

Pokora poetki wyraża się nie tylko wobec słowa stanowiącego trudne tworzywo poezji. Także wobec wartości, która w ujęciu Słomińskiej jest skomplikowaną drogą dzisiejszego życia, pełną różnych czyhań na człowieka mogących zniszczyć jego tożsamość: „zaryzykuj siebie na targowisku; popatrz na swoją twarz / bycie / jak na towar; stań się / kolorową etykietką; wpisz się w pospolite kuszenie”. Zrozum „zawłaszczanie godności gdy wypróbujesz / swoją tożsamość”...

Pokora wobec takich zabiegów jest kontrowersyjna – tu raczej przydałaby się walka. Ale poetka wie, że ta walka byłaby właśnie szyfowa, więc jej pokora odnosi się do faktów, do rzeczywistości. A że ta skrzeczy...

Można tylko krzyczeć za klasykiem: *O tempora, o mores!*

Autorka, formując swoją tożsamość w Pokora wobec takich zabiegów jest kontrowersyjna – tu raczej przydałaby się walka. Ale poetka wie, że ta walka byłaby właśnie szyfowa, więc jej pokora odnosi się do faktów, do rzeczywistości. A że ta skrzeczy... monolit siebie jako człowieka i poezji jako integralnego z nim współistnienia, sięga też po myśl klasyczną zawartą w znanych dziełach.

Na przykład istotą Kubusia Puchatka jest dla niej to, że ten bohater baśni „unika wielkich słów”. Inspirowana Szymborską stwierdza: „twój czas wciąż się rozwiewa poezjo”. W jej barwnym ogródku demokracja jest snem. A złotooka Diana „porzuca siłę ramienia / żeby stać się blaskiem / magią przeznaczenia każdego życia”.

Któż jednak wie, czy nie najwięcej pokory – z równoczesnym zachwytem i nostalgią – ma poetka wobec tego, co najbliższe, znane, pamiętane z dzieciństwa, z życia, z codzienności? To jest największe bogactwo ciała i ducha, bo nie nabyte, lecz – przeżyte. Można by tu wymienić szereg wierszy z tomiku i argumentować cytatami powyższą tezę, np. *Pierwszy bez, Zielone pomidory, Wiatraczek* i inne.

Ale chcę jeszcze dodać coś niecoś o tym, co w poezji szczególnie cenię. To – liryzm. Zdawałoby się, że w tak zintelektualizowanej poezji niewiele da się go znaleźć. Lecz to wrażenie pozorne, bo odczuwany je na pierwszy rzut oka w te utwory. Zagłębienie się w ich treść i formę, w artystyczny kunszt, we wspomniany słuch poetycki i buzującą, choć niejako podskórną, ukrytą w podtekstach i między wersami czy też obrazami siłę uczuć – rozbija ten pozór niczym wydmuszkę. I te fale emocji wnikają niemal niepostrzeżenie w naszą wrażliwość. Nie będę tu cytował, sami tego doświadczcie!

No dobrze, a co z tożsamością? W moim odczuciu poetka już ten monolit stworzyła. Zapewne będzie go dalej „dopieszczać”, wnikliwie mu się przyglądać, dopełniać, szlifować. Bo prawdziwy twórca nigdy nie jest zadowolony ze swego dzieła, nawet gdy inni dostrzegli w nim znamiona genialności. Mnie do tego „werdyktu” przekonałoby nie tylko to, co wyniosłem z lektury tomu, ale już tylko passus z tytułowego wiersza: „niepokój / określi twą tożsamość, tak jak ciepło bliskich / rąk”. Skąd zatem domniemanie, że pani Irena będzie nadal?... Bo w wierszu *Mowa świata* postuluje: „Wysłuchaj się w tę mowę. Ona ci wyścieli wieczną kolebkę. / Przetrwaj nieistnienie”.

Nieistnienie – przemijanie. Przetrwaj je mowa świata – poezja.

Rafał Orlewski

Irena Słomińska, *Tożsamość*. Redakcja i zdjęcia: Kazimierz Słomiński. Postowie: Grzegorz Czemieli. Wydawca: druk-24h.com.pl. Białystok 2015.

Treny o Kacperku

Dramat ludzkiego istnienia wplata się przez los w ludzkie życie. Tak zdarzyło się poecie **Ryszardowi „Sidorowi” Sidorkiewiczowi**, który właśnie stracił swojego dziesięciodniowego wnuka – Kacperka. W swej bezradności i rozpaczli podzielił się swymi uczuciami w tomiku wierszy pt. „Zamiast kołysanki, w którym opublikowała treny poświęcone jego pamięci.

W zbioru tym zamieszczone zostało 44 utwory powstałe w różnym okresie od śmierci Kacperka, które z uporem mania nierzadko i długo narzucać pewnie będzie autorowi pamięć naładowana zranionymi wspomnieniami i wyobrażeniami. W wierszu otwierającym tomik pt. „Co jest małe” poeta pisze: *małe są wielkie słowa / nieważne ważne sprawy / banalne nadzwyczajne / niezwykłe wydarzenia / nieistotne istotne / dążenia i plany / i wielki świat jest mały / nie większy od grzechotki // bo dzisiaj jest wszystko mniejsze / od małego Kacperka*.

Widać, że to „małe i krótkie istnienie” opanoowało wyobraźnię i inspirację poety bezpośrednio zaangażowanego w sprawę swego wnuka. Autorem targają wewnętrzną sprzeczności w czasie oczekiwania na „los Kacperka”, a wierszu pt. „Jak?” tak oto komentuje tę sytuację: *jak pogodzić w sobie / radość i łzy / gdy tak samo boli / cisza i krzyk // Jak pogodzić w sobie / wiarę i lek / gdy ciemniej w oczach / szpitalna biel*.

Po fakcie zgonu powstał znaczący wiersz – „Żalnik”, w którym poeta z jękiem duszy pisze: *choćby się morze też wylało – zbyt mało! // i w gniewie ciskać grom błyskawic / – też na nic! // ani rozpaczać, ani wierzyć... / – jak przeżyć?!*

Autor w kolejnych utworach rozwija „mit dzieciątka nowonarodzonego” nadając sens wysiłkowi życia, u podstawy którego rządzi wszechwładny „samolubny gen”, traktujący fenotyp istnienia „jako opakowanie dla genów”, które w tym przypadku i tak nie ziściło się. Poeta boleję nad utratą wnuczka, bo dziadek zostaje bez niego, i dotyka go owa pierwotna samotność egzystencjalna. Życie w marzeniach ukazuje się przecież jako bajka, zaś w rzeczywistości podszyte jest doświadczeniem nieszczęśliwości i jak pisze Sidorkiewicz – (...) *tam kończy się bajka / a my żyjemy długo / i nieszczęśliwie*. Budzi się w nim nadzieja, że Matka Boska jako ekwiwalent „matczynej opieki” będzie odpowiednikiem w wieczności tego nieskazitelnego niemowlęcia. Jednak to przekonanie dotyka paradoksu wiary, a wierszu „Mała rocznica” czytamy: *jeśli bym miał uwierzyć / że sam Bóg tak chciał // musiałbym stracić wiarę*.

Autor pisząc tren dla Kacperka podkreśla że: *nasze ziarno miłości / rozkwita teraz w wieczności*. Pamięć o wnuku budzi się w wigilię, 1. Listopada, a wtedy niebo jakby zbliża się do dziadka-poety. Wyobrażenia ewentualnego dzieciństwa bardzo przenikają pamięć autora, a on jest strażnikiem tych wielkich marzeń. W tej sytuacji „czas nie leczy ran”, a istnienie świata staje się wątpliwe. Jedyne co pozostaje poecie to nadzieja, że spotkają się i będą żyć „wiecznie” w wieczności, ciesząc się wzajemną miłością bez granic.

Chyba warto było pisać o tym wyjątkowym tomiku, choć wątpliwości ciągle pozostają Niech więc Czytelnik rozstrzygnie tę antynomie emocjonalną.

prof. Ignacy S. Fiut

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, *Zamiast kołysanki*. Wydawca: Drukarnia Usługowa „Gryf”, Częstochowa 2017, s. 54.

Janusz Orlikowski

Bóg wraz z człowiekiem

bo zabawnie jest Bogu z człowiekiem
ale nie dlatego że On wie wszystko a my nie
a w każdym razie niewiele

myślę że cieszy się z naszej wspinaczki
w górę pomimo że wokół płaski teren
po którym można przejść swobodnie

nie może nam tego powiedzieć
dla naszego dobra; wtedy by dał raczej
złu które wciąż czyha za Jego plecami

umowa wolnej woli zobowiązuje

nie może sobie na to pozwolić
zatem zabawnie Mu z nami
tak jak my to czujemy w spotkaniu
z dzieckiem

które już myśli i kombinuje

a gdy radośnie pcha się tam gdzie nie
powinno
my reagujemy ono często bywa płaczem
czy czasem nasze łzy nie mają podobnej
genezy?

Powrót

czas porzucić łachmany i udać się do raju
tam jest wciąż to drzewo które należy omijać
na nim – rosną nasze myśli

o nie obawiam się najbardziej
dlatego dotykam słowa ostrożnie
i wtedy gdy tylko mogę

czyli nigdy gdy widzę że rosną

pamięć węża poznaje te konsekwencje
na których kuleje nie opiera się świat
wie o tym również moja Ewa

dlatego do naszego łóżka przychodzi zawsze
nago
w różnych kątach domu są nasze łachmany
a czas jest tylko ten co teraz jest

turlamy złote jabłka ciszy
z muzyką w tle

czas porzucić łachmany i udać się do raju
kąty można zawsze posprzątać gdy przyjdzie
pora
poza kurzem nic się w nich nie zbiera

choć wąż wciąż uparcie twierdzi inaczej
niestety spóźnia się



Irena Kaczmarczyk

Motyl z Nagasaki

– poetyckie peregrynacje Waldemara Hładkiego

„Motyl z Nagasaki” jest czwartym zbiorem wierszy krakowskiego poety-podróżnika **Waldemara Hładkiego**. Tym razem autor oprowadza nas oszczędnym, esencjonalnym słowem po Japonii, Indochinach, Kanadzie, Alasce i Islandii. Ale też - nie ujmując im urody - po miejscach mu bliskich, a są to: Kraków (miejsce zamieszkania), Brodła (podkrakowska wieś, w której posiada „dom na trawie”), Rzeszów (miejsce urodzenia), Bydgoszcz (dedykacja dla Wiktora) czy Opole, gdzie poeta pewnej jesieni zgrabnie schwycił w sieć lirycznej wypowiedzi muzykę skrzypiec. Ale wracając do wierszy z dalekich podróży, których jest zdecydowanie więcej w zbiorze „Motyl z Nagasaki”. No cóż, nie jest to bynajmniej łatwa lektura, przystępny „poetycki przewodnik”, chociażby z uwagi na obce dla wielu czytelników nazwy miejscowe, toponimy, czy znajomość kultury odległych cywilizacji. Z pomocą tutaj zdąży sam poeta, uwielszczając pod każdym z wierszy dokładny opis miejsca oraz datę powstania utworu. Uzupełnia je znakomitymi fotografiami, na których utrwała zabytkowe obiekty architektoniczne, niezwykle pejzaże czy też mieszkańców zwiedzanego kraju, regionu. Takich zdjęć z pewnością nie znajdzie czytelnik w przewodniku Pascala, bo są to zatrzymane w kadrze wyselekcjonowane zabytki, schwyte na gorąco sceny z życia, ulotne zjawiska w przyrodzie, wychwycone - co należy podkreślić - okiem wytrawnego, wrażliwego obserwatora, reportera i globtrottera - poety Waldemara Hładkiego.

Potrafi autor „Motyla z Nagasaki” sugestywnie malować słowami zauważone w każdym wymiarze piękno, oprowadzając nas po świątyniach w Tokio: *Na równinie Kanto / gdzieś w dali / samotna pagoda / wyciąga szyję / w świątyni spokój Buddy / miska ryżu / koniec pragnienia / jeszcze nikt / nie słyszał o Edo / trudno szukać / wielkiego miasta / niedźwiedź osaczony / bambusową knieją / bezpiecznie wzdycha (wiersz „Samotna pagoda”),* po katedrach: *„Na wieży / katedry Notre-Dame / okna o stalowych ramach / patrzą na świat / betonowe mrowisko / pochłania przestrzeń / tylko zieleń / cesarskiego pałacu / uparta plama / nie daje się wycyścić / tam chmura / odślania świętą Fuji / ocean bliższy / w imperium słońca / garbaty dzwonnik / stracił serce / dla ukochanej / milczy pusty dzwon (wiersz Katedra),* nie pomijając wyjątkowych posągów, z których najbardziej przyciąga uwagę ten zbiorowy, z wiersza *Dzieci z kamienia:*

*Przez bambusowy gaj
majaczy zatoka Sagami
dymią słodkie kadzidła
na wzgórzu
dziecięce figurki
z martwego kamienia
czekają w szeregu
na swego Godota
niema bogini*

*mądra hydra
powtarza święte sutry
przez bambusowy gaj
majaczy zatoka Sagami
rybacy jeszcze nie wrócili*

świątynia Hase-dera
Kamakura, 3 maja 2013

Ogromne wrażenie sprawia gigantyczny posąg z uniesioną ręką, spoczywający na potężnym kamiennym postumencie pośród drzew w Parku Pokoju, muzeum ofiar wybuchu bomby atomowej. Poeta zamyka jego symbolikę w krótkiej impresji: *Jeden raz to za mało / by oślepić blask / cesarskiego słońca / nawet boski wiatr / Kamikadze / opuścił niezwykniętych (wiersz Nagasaki).*

Kilka utworów w zbiorze poświęca Waldemar Hładki obiektom wpisanym na listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO, np: Wielką Wschodnią Świątynię w Nara, czy Zamek Białej Czapli w Himeji (Japonia).

To prawda, czytając wiersze podróżne krakowskiego poety z tomu „Motyl z Nagasaki”, należy dość często zadawać pytania wujkowi Google, ale przecież z pożyteczną dla czytelnika korzyścią, bo po pierwsze, nie każdy może wybrać się do Kioto czy na Alaskę, a odpowiedzi z Wikipedii poszerzą znacznie jego wiedzę geograficzną; poczuje przy tym smak i zapach egzotycznych, niedostępnych miejsc. A jeśli uważnie przeczyta każdy z utworów, dostrzeże w nich głębię duchowości mijanych kultur Wschodu i rzeczywistość rozmaitych cywilizacji. Można powiedzieć, iż Waldemar Hładki tworzy swoisty i rozpoznawalny *turystyczny przewodnik poetycki*, dołączając tym samym do plejady uznanych twórców, wymienić choćby nazwiska: Iwaszkiewicza, Przybosa, Gałczyńskiego czy Herberta, którzy podejmowali w swojej twórczości wątek podróży. Przy tym, tak konstruuje swoje wiersze, że praktycznie nie da się ich cytować we fragmentach. Stanowią zwartą, zamkniętą całość. Poetycką migawkę, opatrzoną dodatkowo profesjonalną fotografią, poprzedzającą każdy utwór.

Ale niepełną byłaby moja refleksja dotycząca tomu „Motyl z Nagasaki”, gdyby pominąć znakomite, pełne ciepła liryki, opiewające wartość powrotu do własnego domu, tego w Krakowie i zbudowanego „na trawie”. Poeta pisze w Brodłach:

*Mój dom z drzewa dobrego
wypełnia spokój
malowanych aniołów
zaprasza ciszę
na wyspę zielonego przylądka
bym je słuchał w milczeniu
stękając drewniane ściany
otulone chłodem
wieczornej rosy
kocur pomalowany nocą
wpadnie czasem*

*na chwilę nieproszony
sen zakrada się
nie wiem kiedy
sąsiedzi z lasu
zagadują przez płot
z łagodnym świtem
najpierw nieśmiało
potem przeciwierkują się
jakby zapomnieli
o dobrym wychowaniu
otwieram oczy z nadzieją*

(Dom na trawie)

Jakież to polskie, nasze i... ludzkie. Jakże bliskie to „przecwierkiwanie” każdemu, kto zasmakował snu w wiejskiej chacie, sąsiadującej z lasem. Poeta-globtrotter ucieka do domowego azylu, ceni sobie jego błogostan, bo - o czym nie wspominałam wcześniej - jest profesorem medycyny, pełni wiele znaczących funkcji w życiu zawodowym i artystycznym. Ale, artyści i poeci wiedzą, iż natchnienie nie lubi czekać i nawet zmęczona dłoń chwyta za pióro, bez względu na porę dnia czy nocy, aby usidlić w strofę, uporczywą - kąsającą mózg - myśl. I w ten sposób właśnie u autora „Motyla z Nagasaki” rodzą się kolejne wiersze przywieszone z dalekich i bliskich podróży; podróży rozumianych w wielu aspektach. Nie jest to na pewno ostatni zbiór wierszy poświęconych peregrynacjom w odległe rejony naszego globu. Wracając jednak jeszcze do zielonego tomu „Motyl z Nagasaki” zauważymy, iż podobnie jak w poprzednim zbiorze: „W podróży” (2014), poeta z utęsknieniem zdąży do kraju, do krakowskiego domu; wraca też wspomnieniami do miejsca urodzenia, które jak pepowina zespala go z nim:

*Przylepiam obraz
do swego patrzenia
by nie zniknął za chwilą
zamienioną w odlatujące skrzydła
głosy te same
wspomnienia te same
historie w różnych miejscach
już nie wszystkie trwają
uśmiechy na twarzach
zniekształcone przemianami
czterdziestu cykli
błękitnej kuli
wokół jasności
szukam nieśmiało przeszłości
oddycham zapachem
tamtych jaśminów
w zapomnianym ogrodzie*

(Powrót do przeszłości)

I jeszcze chociażby słów kilka o edytorskiej urodzie książki. To wyjątkowo dopracowana publikacja, o wysmakowanej szacie graficznej; zawiera 34 wiersze i 25 znakomitych, kolorowych zdjęć, ilustrujących poszczególne przystanki poetyckie.

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szczukowskiej (149)



Fot. Andrzej Dębowski

Nie mogą się porozumieć, bowiem młodzi pod wpływem rozmaitych okoliczności, łącznie ze zdobytą wiedzą, odeszli od światopoglądu starszego pokolenia. Oczywiście, czynnikami zespalaającym rodzinę jest wiedza o wspólnych przodkach oraz wytworzona przez lata więź, poczucie bliskości.

Wdzięczność powinna prowadzić do wytworzenia szlachetnej relacji między człowiekiem a człowiekiem. Tę właściwość nie każdy w sobie wyrabia, zwłaszcza w naszych czasach, które uczą pazerności i żądania pomocy materialnej od rodziców czy dziadków. Liberalizm ekonomiczny kieruje bowiem uwagę na stosunek człowieka do pieniędzy bardziej niż na relację człowiek – człowiek.

Coraz mniej mamy przejawów wspólnotowości, coraz więcej oznak atomizacji, czyli rozpadu więzi międzyjednostkowych. Szacunek dla indywidualności nie jest sprzeczny ze wspólnotowością, którą budowała w czasach międzywojennych i po wojnie własność spółdzielcza.

Ostatnio rozgorzały konflikty międzyludzkie związane z problemem sumienia. Narosło dużo nieporozumień. Przede wszystkim sumienie jest kategorią religijną. Mogą powoływać się na nie chrześcijanie rozmaitych wyznań, zwłaszcza w kontekście poczucia grzechu. Grzech jest także kategorią religijną. Powstaje wówczas, gdy ktoś nie zastosował się do przykazań boskich oraz przykazań sformułowanych przez kościół do którego się należy. Osoby bezwyznaniowe, panteiści oraz ateiści powinni odwoływać się do przyzwoitości czy, na przykład, niezadowolenia z siebie wywołanego własnym postępowaniem ocenianym jako sprzeczne z powinnością.

Zachodzi niewątpliwa rozbieżność między tym, kim się jest a tym, kim powinno się być **według otaczających nas ludzi**. Zachodzi także i inna rozbieżność, a mianowicie, wewnętrzne rozdwojenie między tym, kim się jest a tym, kim **według siebie** powinno się być. Na ogół tłumimy w sobie niezadowolenie z siebie, niezadowolenie z tego powodu, że odstaje się od własnych poglądów i chęci bycia nieco innym człowiekiem. To niezadowolenie z siebie określa się u nas powszechnie mianem wyrzutów sumienia, nadając temu sens reli-

gijny. Popępia się błąd używając w życiu publicznym terminów w wymowie swej religijnych. Wiara i nauka są dziedzinami odrębnymi i podobnie prawo i polityka powinny być wolne od religijnych odniesień.

Państwo demokratyczne ma być państwem neutralnym światopoglądowo. A więc **odwoływanie się w życiu publicznym do sumienia stanowi naruszenie jednego z warunków demokracji**. Ludzie religijni powinni powoływać się na sumienie jedynie w kręgu przyjaciół, rodziny oraz własnej grupy wyznaniowej. Należy zważyć, że sumienie pozwala katolikom, prawosławnym i protestantom na zabijanie wrogów w czasie wojny – natomiast sumienie wyznawców religii również chrześcijańskich, a mianowicie Armii Zbawienia czy, na przykład, Świadków Jehowy nie pozwala na zabijanie kogokolwiek z żadnego powodu. **A więc pojęcie sumienia jest wieloznaczne.**

Jest oczywiste, że zachodzą różnice indywidualne w poglądach poszczególnych jednostek, ale wszystkich wyznawców określonej religii obowiązują wyrzuty sumienia w przypadkach naruszania nakazów i zakazów moralnych własnego wyznania.

Różnice indywidualne w poglądach między ludźmi, które dochodziłyby do głosu w państwie, prowadziłyby do anarchizmu. Elementem jednoczącym obywateli – mimo odmiennych poglądów – jest prawo. Do niego, nawet gdy jest według czyjejś oceny niesprawiedliwe – trzeba się stosować. Nie wyklucza to wysiłków mających na celu doskonalenie przepisów prawnych.

Zagadnienie roli sumienia wypłynęło obecnie ze środowiska lekarzy. Ale wiadomo, że żadna grupa w społeczeństwie nie powinna być uprzywilejowana. Na sumienie, uprawniające do niestosowania się do prawa, mogą w takim razie powoływać się, na przykład, sędziowie, nauczyciele, urzędnicy rozmaitych szczebli, etc. **Zgoda na uznanie wyższej rangi sumienia niż prawo stanowione doprowadziłoby Polskę do niewyobrażalnego chaosu**. Zapewne byłoby to zgodne z naszymi właściwościami narodowymi, bowiem Mickiewicz ustami jednego z bohaterów „Pana Tadeusza” nakłaniał do tego, by zamiast sądów samemu wymierzać sprawiedliwość.

W państwach demokratycznych obowiązują określone procedury. Mianowicie, drogą parlamentarną należy zmieniać przepisy prawne, by stawały się bliższe poczuciu sprawiedliwości osób żyjących w danym państwie i określonym czasie. Prawo natury może tu pełnić istotną rolę.

Od pokoleń wychowywani jesteśmy w kulcie bohaterów, którzy ginęli w imię wolności ojczyzny. Ich heroizm nie budzi wątpliwości. Nie pozostaje to w sprzeczności z poglądami pacyfistów, bowiem nie godząc się na prowadzenie wojen, uznać należy oddanie własnego życia za czyn heroiczny. Heroizm bywa oczekiwany również w warunkach pokoju. W ten sposób ocenia się tych, którzy wbrew obowiązującemu prawu – będąc, na przykład, wysokimi urzędnikami – działają w imię wyznawanych przez siebie wartości.

Po drugiej wojnie światowej, po upadku hitleryzmu i stalinizmu, powracają w literaturze naukowej pytania: czy należy oskarżać

tych, którzy działali zgodnie z przepisami prawnymi systemów totalitarnych. Jest sprawą niewątpliwą, że obowiązuje zasada ustalona w starożytnym Rzymie, w myśl której prawo nie działa wstecz. Jeżeli więc ktoś w warunkach obowiązującego niegdyś systemu prawnego działał legalnie, to nie należy pociągać go do odpowiedzialności. Nikt nie powinien być skazany z tego powodu, że nie zdobył się na heroiczne odmówienie stosowania obowiązujących przepisów prawnych.

Rozum podpowiada, by być posłusznym systemowi prawnopolitycznemu w którym się żyje. Natomiast heroizm, sprzeczny z racjonalizmem, skłania do działań, zgodnych z własnymi przekonaniem. W powieści „Drogi wolności” Jean-Paul Sartre rozważa wiele fundamentalnych dylematów ludzkich. A w tym, analizuje sytuację pacyfisty, który zostaje powołany w czasie pierwszej wojny światowej do wojska po to, by zabijać wrogów. Niezgoda na wzięcie broni do ręki może spowodować wyrok śmierci. Pytanie czy pacyfista powinien heroicznie bronić zgodności własnego światopoglądu z czynami?

Na heroizm stać wyjątkowe jednostki, by powołać tu przykład Sokratesa, który mógł być uciec z więzienia. Nie uczynił tego jednak, bowiem niezgodne z jego poglądami, które głosił, byłoby niepodporządkowanie się obowiązującemu prawu. Jego zdaniem egzystowanie w jakimś państwie, to wyraz milczącej zgody, że będzie się przestrzegać prawa. Dlatego nie skorzystał z możliwości, by uciec z więzienia.

O ile heroizm budzi podziw, na ogół nie skłaniając do naśladowania, to hipokryzja nie jest aprobowana. Zakłamanie jest negatywną cechą charakteru. Hipokryzja dochodzi do głosu w relacjach towarzyskich oraz w życiu społeczno-politycznym. Niektórzy twierdzą, że hipokryzja może być pożyteczna, bowiem prawdę należy nieraz ukrywać. W rzeczywistości hipokryzja bywa wykorzystywana w rządzeniu krajem. W błąd uwagę społeczeństwa wprowadzają niejednokrotnie przekazy medialne, które starają się urobić świadomość społeczeństwa w sposób odległy od prawdy.

Heroizm albo hipokryzja dochodzą do głosu w dokonywanych wyborach przez człowieka. Jest to dylemat, nie tylko polityków. Zatajanie poczynań rządzących nie powinno znajdować żadnego usprawiedliwienia jeśli deklaruje się wartość ustroju demokratycznego, który wymaga jawności.

Hipokryzja to inaczej obłuda, która może przynosić korzyści jakiemuś człowiekowi. Oczywiście, mam tu na myśli nie tylko korzyści materialne. Jednakże powoduje ona niepokojące, negatywne skutki w sferze psychicznej hipokryty – zaś oszukiwanych wprowadza w błąd. Hipokryta to człowiek zakłamany. Hipokryzja stanowi nieraz ucieczkę przed dokonaniem jednoznacznego wyboru lub przed wyrażeniem jednoznacznej opinii, bądź oceny.

Interesujące, że niejedni filozof uważa, że rozważny władca powinien mieć szczyptę tolerancji dla hipokryzji.

cdn.

Maria Szczukowska

Okruchy ożywczych mądrości

Każdy doświadczony poeta ma czasem pomysł na książkę-wytnienie od swojej zwyczajnej, mozolnej pracy twórczej, która to działalność jest niczym innym jak mrówczą, bezsensną pogonią za pomysłem, ideą, pomysłem na kształt wiersza, ale także nasłuchem nad współczesną melodyką języka ulicy i poezji jak i bezustannym, niemalże sztyfowym powrotem do arcydzieł starych mistrzów sprzed lat, a nawet epok. Na taki gest będący jakimś powrotem do starej, cenionej formy, którą się dawniej zarzucało, na książkę pisaną ot tak, ale nie pozbawioną ambicji intelektualnych zdecydował się **Jerzy Grupiński**, który powrócił do lapidarnej poezji w „Sposobie na motyle” wydanym w Poznaniu w 2018, który ukazał się 6 lat po sopockim wydaniu poprzedniego tomiku poety pt. „Kuszenie świętego Poetego”, który jak czytamy w posłowniu poety był „niepozobawiony epickiego gestu”.

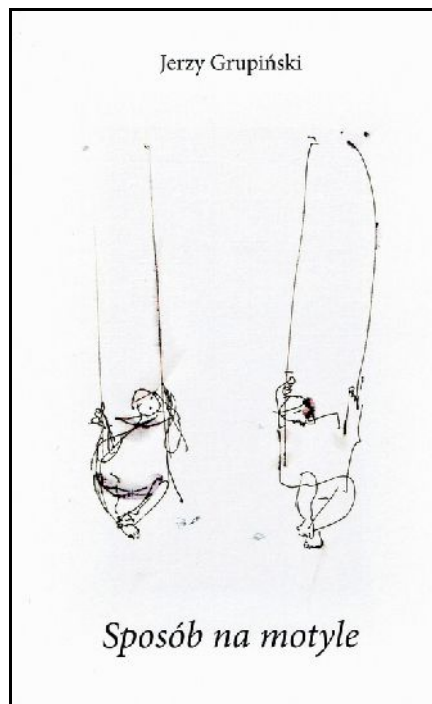
„Sposób na motyle” to tytuł zbioru składającego się sponad 50 krótkich wierszy, które czasem wyrastają z rozmaitych wielowiekowych tradycji aforyzmu, haiku i epigramatu, zawierających mikro-observacje, pointy, czy ciekawe zawieszania głosu. Poeta przyznaje się do Przybosiowego nakazu „jak najmniej słów”, jednakże nie interesuje go wirtuozeria w konstruowaniu metafor, awangardowe nastawienie do nowatorstwa, raczej punktem wyjścia jego poezji jest klasyczny namysł nad współczesnością, nie pozbawiony wrażliwości na zdarzenia z pozorów błahe, ale w wierszu urastające do spraw ważnych, do czego przyzwyczaiła nas współczesna poezja. Poeta także przyznaje się do fascynacji poezją Dalekiego Wschodu. Jednak jeśli wczytamy się w tomik Grupińskiego zauważymy mnogość odniesień kulturowych, mnogość pomysłów, obserwacji z różnych dziedzin. W jego poezji spotyka się Juliusz Słowacki z taoizmem, Biblią, wspomnieniami rodzinnymi, migawkami z klubu literackiego, obserwacjami przyrodniczymi. Poeta nie zakroił tomiku tematycznie co może powoduje to, że trudno go czytać bez przerwy, jednym ciurkiem, nie wciąga nas atmosferą (jak bardziej zakrojone tematycznie tomiki), gdyż się ona zmienia z wiersza na wiersz. Jednakże taka praktyka pozwoliła poecie napisać sporo bardzo udanych wierszy i zastanawiających. Kilka po prostu zmiołło mnie nawet wtedy, kiedy oczy kleiły się do snu, a książka zamiast – jak co drugi dzisiejszy tomik – znużyć, żebym po jej lekturze wreszcie położył się spać, okazała się orzeźwiająca. Podziałała jak kofeina. Ascetyczne wiersze pod względem formalnym, okazały się bardzo treściwe.

W „Zabawkach” czytamy o niestosowności zycia dzieciom zabawek ze skór zwierząt. Wiersz mimo lekkiego nalotu wszyst-

kowiedzącej najlepiej ekologii, pokazuje absurd, jakich pełno w dzisiejszym świecie, którego chyba pochłonęły możliwości ekonomiczne nie liczące się z przeszkodami natury geograficznej. Jednak taki pośpiech ekonomiczny niweczy i zdrowy rozsądek, jakąś tradycyjną stosowność. Przecież zabawkowe zwierzęta służą dzieciakom do poznawania przyrody, nazw zwierząt, ich kształtu, koloru. I to, co mają poznać, jest niszczone po to by budować narzędzia poznawcze. To tak jakby Ariadna podarowała Tezeuszowi kłębek nici prowadzący go prosto do paszczy Minotaura.

W „Akcje strzelistym” mamy już znany z tradycji literackiej w Polsce (m.in. z dzieł Miłozsa) spór o to co jest istotniejsze – poezja, czy proza. Jednakże w przeciwieństwie do Miłozsa (choć podobnie Grupiński myśli o prozie) swój krótki wywód odnośnie tego tematu Grupiński kończy żartobliwą apostrofą do stwórcy: *Boże spraw / abym nigdy nie musiał / powieści pisać.*

I w tych kilku liniijkach można wyczytać jakąś niechęć twórcy do powieści, nie tyle do arcydzieł, które na pewno zna, co do sytuacji rynkowej, ponieważ po porażce z poezją w latach 90., poezja po 2000 roku się odrodziła, choć głównie rynkowo. Pisanie powieści wg Grupińskiego to zajęcie niegodne prawdziwego twórcy, zajęcie czynione głównie dla zysku nie z potrzeb artystycznych.



Doskonałym tekstem jest także humorystyczny „Rany i plastry z Szamotuł”, w którym poeta wykorzystuje rzadko stosowany obecnie w poezji – cytat. Poeta cytuje mroczny erotyk znajomego, co zestawia z poklejonym laptopem tego znajomego, który mu na końcu w wiersza opowiada o scysji z jakąś kobietą. Za pomocą skrótu, w 12-wersowym tekście poeta uzyskuje efekt podobny do filmu krótkometrażowego, w którym kilka scen buduje atmosferę i naświetla temat. Bardzo dawno nie czytałem w polskiej poezji udanego wiersza będącego migawką ze

spotkań literackich, czy klubu dyskusyjnego o poezji. Takie wiersze, albo przestały być drukowane, albo przestały być pisane. Ostatnio podobny tematycznie wiersz czytałem wiele lat temu – w wersji humorystycznej Maliszewskiego i nieco mrocznej Świetlickiego.

No i wreszcie zastanawia – z odniesieniem do poetyki Witkacego – „Ars poetica”, która ukazuje pisanie jako sprzedawanie „własnych wnętrzości” co wg podmiotu lirycznego jest „brudną robotą”. Ciekawe, że ten wiersz i da się przeczytać humorystycznie jak i całkiem poważnie. Ten wiersz kontrastuje swoim ponurym klimatem z resztą tomiku.

Na pewno w krótkim tekście nie da się przywołać wszystkich ciekawych wierszy z tomiku „Sposób na motyle”, omówić ich doniosłości, trafności. Jeżeli jednak ktoś poszukuje poezji, w której i znaleźć można długowieczną mądrość, doświadczenie, a także szczyptę, nie złośliwego humoru to poezja Grupińskiego na pewno powinna mu spasaować. To wcale nie jest takie banalne i proste napisać takie wiersze.

Mateusz Wabik

Jerzy Grupiński, *Sposób na motyle*. Poznań 2018.

Jerzy Grupiński

Wiersz o pasterzu

Pod obrazami pana Schwartza
który wymalował rzekę
wiatr w klasztornych kasztanach
i moją starą szkołę i pawia
i żurawia z przetrąconą nogą
(w Obrzycku nad Wartą
blisko pan Schwartzmieszka)
Są już wszyscy pod sklepieniem nawy
Murzynek w turbanie
kołyszający się na skarbonce
Arab trzyma na sznurku
królewskiego wielbłąda
Woda na młyn
obraca koła nad ruczajem
A gdy włączą światło – święty Franciszek
ciągnie za drut sygnaturki
Świeci śpi błękitne miasto
Jerozolima moja minaretów i kopuł
Na księżycu Marii stopa żarzy
świeci się płomyk jak zapałka

Są wszyscy
tylko pasterz – ten co ciężki plecak
jakby rękopis tajemny niósł
wciąż stoi na klasztornym strychu
pod krokiewiami mansardy
tam gdzie leżą dachówki
i ponemieckie książki
Gra na gipsowych multankach
Idzie za mną wciąż pasterz

jakby cień po śniegu szedł

POEZJA

Anna Andrych, *Archipelag*. Tekst i fotografie: Anna Andrych. Redakcja i korekta: Tomasz Janas. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Joanna Pakuła, Studio Graficzne Wydawnictwa Miejskiego Posenania. Wydanie I, Wydawnictwo Miejskie Posenania, Poznań 2018, s. 75.

Kazimierz Brakoniecki, *Erodotyki*. Na okładce wykorzystano zdjęcie obrazu Andre Joliveta *La resoircation et Tabsence*, 2013. Projekt okładki i stron tytułowych: Julia Burek-Wolska. CONVIVO, Warszawa 1018, s. 102.

Emily Dickinson, *Jest pewien ukos światła*. *Poezje wybrane*. Wybór, przedmowa i przekład: Krystyna Lenkowska. Projekt okładki: Maciej Marczak. Projekt graficzny: Katarzyna Turkowska, Ewa Mikuła. Wydawnictwo Oficyna, Łódź 2018, s. 224.

Joanna Figiel, *Rubato*. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom 12. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2018, s. 132.

Jerzy Fryckowski, *Treny oraz Listy do matki*. Redakcja i korekta: autor. Projekt okładki: Dorota Kędzierka. Wydawca: Wydawnictwo BUK, Białystok [bez roku wydania], s. 32 i 22.

Jerzy Fryckowski, *Stany nagłe*. Redakcja: Andrzej Chludziński. Korekta: Weronika Malik. Ilustracje i projekt okładki: Dorota Kędzierka. Opracowanie graficzne: Dorota Gierszewska. Wydawnictwo Jasne, Pruszcz Gdański 2017, s. 96.

Zofia Grabowska-Andrijew, *To wszystko człowiek*. Wydawnictwo Miejskie Posenania, Poznań 2018, s. 160.

Zbigniew Herbert, *Wybór wierszy*. Wstęp i opracowanie: Małgorzata Mikołajczak. Ilustracja na frontysepis: Zbigniew Herbert, 1963, fotografia PAP / Marek Langda. Seria *Biblioteka Narodowa*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2018, s. 728.

Zdzisława Jaskulska Kaczmarek, *Rewizja osobista*. Opracowanie redakcyjne: Lucyna Kończal-Gnap. Opracowanie graficzne, projekt okładki: Joanna Dąbrowska. Fotografie: Zdzisława Jaskulska Kaczmarek. Wydawca: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyślu, Nowy Tomyśl 2018, Wydanie I, s. 115.

Zdzisława Jaskulska Kaczmarek, *A imię twoje niepokój*. Redakcja i korekta: Tomasz Janas. Tekst i fotografie: Zdzisława Jaskulska Kaczmarek. Wydawca: Wydawnictwo Miejskie Posenania, Przygotowanie do druku: Studio Graficzne Wydawnictwa Miejskiego Posenania, Wydanie I, Poznań 2018, s. 98.

Krakowska Noc Poetów. Almanach XLVI. Redakcja, projekt okładki: Danuta Sułkowska. Grafika wewnątrz książki: Barbara Paluchowa w wykorzystaniem fotografii Danuty Perier-Berskiej i Ireny Kaczmarczyk. Korekta: Danuta Perier-Berska. Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Klub Dziennikarzy „Pod

Gruszką” przy Bibliotece Kraków, Kraków 2018, s. 132.

Grzegorz Marcinkowski, *Letarg*. Opracowanie graficzne i typograficzne: Jakub Żabiński-Sikorski. Zaufek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2018, s. 54.

Aleksandra Ochmańska, *Barwy świata*. Wstęp: Henryk Pustkowski. Korekta: Alina Ochmańska. Typografia i projekt okładki: Joanna Podgórska. Wydawca EXPOL, Włocławek 2019, s. 90.

Ewa Olejarsz, *Mongolski cyrk*. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Fotografia autora na okładce: Magdalena Ostrowska. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 156. Instytut Mikołowski, Mikołów 2018, s. 34.

Henryk Pawlak, *Przejaśnienie*. *Wiersze*. Okładka: Grzegorz Oźga. Oficyna Wydawniczo-Reklamowa Sagalara, Łódź 2018, s. 64.

Janusz Radwański, *Święto nieodległości*. Projekt okładki Jakub Rakusa-Suszczewski, Anna Matysiak. Motyw na okładce: Kalina Radwańska. Ilustracje: Karolina Stępień, Lilianna Majerow, Piotr Jemioło. Seria *Tangere*. CONVIVO, Warszawa 2018, s. 52.

PROZA

Stefan Chwin, *Opowiadania dla Krystyny*. Projekt okładki i stron tytułowych: Dominika Gzowski. Fotografia na I stronie okładki: Stefan Chwin. Fotografia autora na stronie przedtytułowej: Artur Hutnik / Testigo Documentary. Fotografia autora na IV stronie okładki: Cato Lein. Seria *Proza Współczesna*. Wydawnictwo „TYTUŁ”, Gdańsk 2018, s. 274.

Joseph Conrad, *Tajny agent*. Przełożył i postłowiem opatrzył: Maciej Świerkocki. Projekt okładki: Maciej Mraczek. Projekt typograficzny: Katarzyna Turkowska. Wydawnictwo Oficyna, Łódź 2018, s. 336.

Jan Krzysztof Piasecki, *Cegielki i inne opowiadania*. Zdjęcie na okładce: Jerzy Rajecki, *Podlaskie Klimaty*. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Jolanta Ugorowska. *Biblioteka Analiz*, Warszawa 2018, s. 108.

Marcel Proust, *W poszukiwaniu utraconego czasu. W stronę Swanna*. Przełożyła: Krystyna Rodowska. Projekt okładki Maciej Mraczek. Projekt graficzny: Katarzyna Turkowska, Ewa Mikuła. Wydawnictwo Oficyna, Łódź 2018, s. 480.

Władimir Sorokin, *Manaraga*. Przełożyła: Agnieszka Lubomira Piotrowska. Projekt graficzny okładki: Joanna Rzezak. Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastkowska. Wydawnictwo Agora, Warszawa 1018, s. 248.

Juliusz Strachota, *Turysta polski w ZSRR*. Projekt okładki: Bolesław Chromy. Projekt typograficzny: By Mouse | www.bymouse.pl. Seria *Prozatorska*. Fundacja Korporacja Ha!art, Kraków 2018, s. 226.

Maria Wilczek, *Opowieści z życia wzięte*. Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr

Wilczek. Opracowanie redakcyjne: Agnieszka Świątek. Korekta: Wiesława Krajewska. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 216.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Kazimierz Brakoniecki, *Cudoziemiec*. Projekt okładki i stron tytułowych: Tadeusz Burniewicz. *Biblioteka Autorów Warmii i Mazur*, seria 5, tom i. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Olsztyn, Olsztyn 2018, s. 344.

Cezary Dobies, *Herbert w Toruniu. Miasto i mistrz*. Projekt graficzny: Tomasz Jaroszewski. Fotografia autora na przednim skrzydełku obwoluty: Artur Fryderyk Dobies. Fotografie: Tomasz Jaroszewski. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2018, s. 144.

Jan Fejkiel, *Jerzy Panek. Ego sum*. Opracowanie graficzne: Władysław Pluta. Na okładce Autoportret nr i, 1960, drzeworyt. Na frontysepisie *Autoportret, Ego sum*, 1941/42, akwaforta. Ilustracja na str. 9 *Chorągiew i*, 1962, drzeworyt. W książce zamieszczono grafiki Jerzego Panka ze zbiorów Jan Fejkiel Gallery. Jan Fejkiel Gallery, Kraków 2018, s. 160.

Jerzy Giedroyc, Czesław Straszewski, *Listy 1946-1962*. Opracowanie, wstęp i przypisy: Maciej Urbanowski. Opracowanie graficzne: Jan Bokiewicz. Seria *Archiwum Kultury*, tom 20. *Biblioteka „WIEZI”*, tom 346. Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską Oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Association Institut Litteraire „Kultura”, Warszawa 2018, s. 320.

Michał Głowiński, **Grzegorz Wołowicz**, *Czas nieprzewidywany. Rozmowa-rzeka*. Projekt okładki: Tomasz Majewski. Zdjęcie na okładce: Elżbieta Lempp. Wielka Litera, Warszawa 2018, s. 496.

Zbigniew Mikołajko, *Prowincje ciemności. Eseje przygodne*. Projekt okładki i stron tytułowych: Jacek Staszewski. Na okładce wykorzystano obraz Francesca Primaticcio, *Ulisses i Penelopa*, ok. 1560 r., olej na płótnie. Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2018, s. 280.

Magdalena Piotrowska-Grot, *Przemebowanie (w) wieczności. Wizje zaświatów w polskiej poezji współczesnej*. Projekt okładki: Mariusz Bieniek. Seria *Historia literatury polskiej*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2018, s. 480.

Wacław Sadkowski, *Ktoś taki jak ty*. Projekt okładki: Katarzyna Wiśniewska. Zdjęcie na okładce z archiwum autora. Zdjęcie na IV stronie okładki: Włodzimierz Wasyluk. Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2018, s. 176.

Tomasz Żukowski, *Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów*. Projekt okładki: Karolina Żelazińska. Plakat na okładce: Leszek Hołdanowicz. Wielka Litera, Warszawa 2018, s. 432.

Przychodzi poeta do biblioteki czyli rzecz o spotkaniach autorskich

Coraz częściej w mediach społecznościowych pojawiają się wpisy śmiertelnie oburzonych autorów, że jakaś biblioteka śmiała odmówić im spotkania. A przecież: „to taki interesujący temat”, „nie chcę za to pieniędzy”, „innym zrobiła, a mnie odmawia?” – i tak dalej. I sypią się gromy na bibliotekarzy z sugestiami, że nie mają nic do roboty, są ignorantami w sferze literatury lub – co gorsze – hołdują koleśnictwu czy mają jakieś inne nieczne pobudki.

Hola, hola, drodzy Państwo, jeśli bibliotekarze czymś zawinili, to wyłącznie asertywnością. Żyjemy w określonych realiach i ostatnie schronienia literatury, jakimi są biblioteki też funkcjonują w zmienionym świecie, w czasach, które zdominowały prawa rynku. Czy nam się to podoba czy nie warunki dyktuje potencjalny odbiorca. Skończył się złoty wiek, gdy poeta był hołubiony – na spotkania organizowane ogólnie musieli się stawić wszyscy pracownicy zakładu czy cała szkoła. Teraz o tym, kto i co zaistnieje decyduje czytelnik – ten, który jeszcze chce sięgać po książkę, bo wiemy, jak w Polsce wygląda czytelnictwo. Zostałam poproszona o krótką diagnozę z punktu widzenia bibliotekarza.. Problem jest szerszy, ale postaram się przedstawić go w oparciu o moje własne doświadczenia i to, co płynnie od innych koleżanek (mocno sfeminizowany zawód, dlatego opinii mężczyzny nie przytoczę).

Myślę, że przede wszystkim trzeba zacząć od tego, na co jest zapotrzebowanie. Bibliotekarz zna gusty ludzi, z którymi rozmawia przy ladzie, zna środowisko w jakim pracuje. Jestem przekonana, że dotyczy to nie tylko mniejszych bibliotek – w tych większych też musi istnieć przepływ informacji, istotne jest, o co ludzie pytają, by właściwie zaplanować nie tylko zakupy książkowe, ale i program imprez na dany rok. O kogo dobijają się zaprzyjaźnione instytucje czy stowarzyszenia? Przede wszystkim o pisarzy dla dzieci – najlepiej tych znanych. Dobrze widziani są też podróżnicy, osoby poruszające tematy medyczne czy związane z różnymi hobby. Być może w większych bibliotekach jest szerszy wachlarz zainteresowań. Sami czytelnicy pytają przede wszystkim o prozaików piszących w nurcie popularnym. Przy autorach bestsellerów znanych księgarni internetowych jest szansa, żeby zapełnić salę, ale i tu

można się pomylić – koleżanka zaprosiła Sławomira Kopra, który był jednym z najbardziej poczytnych autorów w jej placówce i bezradnie patrzyła na puste krzesła. Dobrze, jeśli jest gdzieś DKK czy UTW i można zaprosić konkretne osoby, ale coraz rzadziej ludziom chce się wyjść z domu i spędzić czas z literatami. I tu przechodzimy do bólażki, która stała się tematem moich rozważań. Poezja w bibliotece. Literatura dla elitarnego czytelnika. Tak, elitarnego, bo większość społeczeństwa nie lubi bądź nie rozumie współczesnej poezji. Trudno się dziwić normalnemu zjadaczowi chleba, że unika tego działu w bibliotece, jeśli widzi, co promuje współczesny świat literacki – czasem epatowanie brzydota i fizjologią bądź niezrozumiałe, nieczytelne abstrakcje. Wygląda na to, że tracimy z oczu tych, którzy mają być odbiorcami wiersza, tracimy rozumienie pojęcia „liryka”. I tu zaczyna się problem. Pojawia się ktoś, kto urzeka osobowością i pisaniem, kto miałby szansę przekonać ludzi do tej najpiękniejszej części literatury. Ale na spotkanie nie ma szans, nikt na to nie przyjdzie. Zaczniemy od dużych bibliotek – dwa konkretne przykłady, pozwólcie, że pominę nazwy miejscowości (jedna – dawne miasto wojewódzkie, druga – obecne). Do jednej i drugiej biblioteki pofatygowaliśmy się koleżanki z propozycją spotkań z naprawdę wyjątkowymi poetami. W jednej z uśmiechem podziękowano za ofiarowane tomiki (chyba nie trafiły do księgozbioru, bo w katalogu nie ma) i poinformowano, że mają innych autorów. Zagajewski, Lipska – to jeszcze by przeszło, ale trudno prezentować kogoś, kto nawet nie ma swojego hasła w Wikipedii. W drugiej padło stwierdzenie, że robią spotkania wyłącznie poetom z regionu, bo na inne nikt nie przyjdzie. To są duże miasta! A teraz coś z mojego podwórka. Na spotkaniu z Adamem Ziemiannym (któremu towarzyszył z gitarą Dariusz Czarny – kiedyś muzyk z SDM, dziś lider zespołu U Studni) było zaledwie kilka osób z mojej miejscowości. Salę zapełniła publiczność z ościennych gmin. I nikt mi nie powie, że nie było akcji promocyjnej, że nikt nie wiedział. Zrobiłam, co mogłam. Nie było to jedyne spotkanie, gdzie odbiłam się od ludzkiego „niechciejstwa” – ale pomimo wszystko nie poddaję się, staram się każdego roku zaprezentować dwóch-trzech poetów czy poetki, które wyłowię na innych spotkaniach literackich – obserwuję, co prezentują, jak są odbierani – jest to istotne ze względu na potencjalnych odbiorców u mnie. Więcej się nie da – i to nawet nie kwestia finansów, choć budżet jest ograniczony. To kwestia przyciągnięcia ludzi na spotkanie. To jest realny problem, czy piszący chcą go uznać, czy nie. Powiecie, że można zrobić spotkanie w szkole. To teraz news z innej biblioteki – idzie pani z propozycją organizacji takiego spotkania dla jednej klasy w podstawówce i słyszy, że w tym roku to niemożliwe, bo strajk nauczycieli sprawił, że nie mogą sobie pozwolić na utratę godziny lekcyjnej. I nic się nie zrobi. To tylko poezja – mało popularna, według wielu nikomu niepotrzebna. A jednak

są miejsca, gdzie pomimo wszystko usiłuje się ją promować, ale bibliotekarze chcieliby, by pisarze zamiast wyskakiwać z pretensjami zrozumieli trudności, z jakimi się borykamy. Musimy jakoś funkcjonować w rzeczywistości, która zmieniła się w ostatnich dekadach, dla literatury i wszystkich instytucji z nią związanych chyba na gorsze. Mam wrażenie, że znajdujemy większe zrozumienie wśród tych, którzy wkroczyli na arenę twórczą już w nowych czasach niż wśród poetów pamiętających czasy, gdy się im podziw i spotkania (płatne) należały z urzędu, tylko z racji przynależności do jednego ze związków twórczych. Biblioteki nie mogą sobie pozwolić na pomijanie głosu tych, dzięki którym jeszcze funkcjonują. *Vox populi, vox Dei*. musimy się dostosować do wymagań swojego środowiska, a pomimo to próbujemy przemyścić trochę wyższej kultury. Pocztą pantoflową przekazujemy sobie informacje o osobach, które się u nas sprawdziły (w domyśle – przekazujemy sobie też informacje o tych, których z różnych powodów należy unikać) – i tu upatruję nadziei dla poetów. Myślę, że te biblioteki, które są obecnie obrażane będą miejscem, gdzie poezja ma jeszcze szansę przetrwać.

Joanna Słodyczka



Motyl z Nagasaki...

(Dokończenie ze strony 20)

W mojej recenzji specjalnie pominęłam wiersze z Kanady i Alaski, Wietnamu i Islandii, by zachęcić czytelników do spaceru po 100-letnim moście w pobliżu Vancouver, wstąpienia do zabytkowej kilkupoziomowej złotej stupy buddyjskiej (44 m wysokości), wyciszyć oczy nad zatoką Ha Long czy zachwycić się szmaragdowym spokojem rzeki Bow.

Podrózujcie, drodzy czytelnicy, z krakowskim poetą, bardem, fotografiem, podróżnikiem, animatorem kultury, lekarzem, człowiekiem nauki – Waldemarem Hładkim po wersach jego wysmakowanej, stonowanej poezji, która ubogaca wyobraźnię i pobudza do mądrych refleksji.

Irena Kaczmarczyk

Waldemar Andrzej Hładki, „Motyl z Nagasaki”. Wydawnictwo Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2017, s. 73.

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.